

Karol May Sępy skalne Droga opadała ku dolinie, wiła się między wzgórzami i wiodła do obszernej niziny, na której już poprzednio byli. Okazało się, że jechali okrężną drogą. Siuksowie Ogallalla zatem dobrze znali okolicę. W niektórych miejscach, zwłaszcza przy zakrętach, zostawili drogowaskazy dla Wokadeha.

Po południu oddział dotarł do doliny w kształcie wydłużonego koła o wielomilowej średnicy, ciągnącej się między stromymi skałami.

Pośrodku doliny wznosiła się stożkowata góra, a jej łyse boki błyszczały w słońcu. Na wierzchołku stał niski i szeroki głąz przypominający żółwia.

Geolog nie miałby wątpliwości, że ma przed sobą przedhistoryczne jezioro, którego brzegi stanowiły wznoszące się wokół wzgórza. Wierzchołek stożkowej góry, która wznosiła się na środku doliny, był kiedyś wyspą wystającą z wody.

Badania wykazały, że w okresie trzeciorzędu krajobraz Ameryki Północnej charakteryzował się dużą ilością słodkowodnych jezior. Z biegiem lat woda w tych zbiornikach opadła, tworząc doliny.

Dolina nad którą zatrzymali się jeźdźcy, była właśnie kiedyś takim jeziorem* Znak, zostawiony przez Siuksów Ogallalla dla Wokadeha, wskazywał, że przejechali dolinę w poprzek. Old Shatterhand jednak nie skorzystał z tego szlaku, tylko skręcił w lewo wzdłuż góry.

- Oto drogowaskaz - rzekł Davy wskazując na drzewo ze sztuczną szczepionką innego gatunku. - Oto znak Ogallalla. Czemu pan nie jedzie we wskazanym kierunku?

- Ponieważ znam lepszą drogę - odparł zapytany. - Od tego miejsca orientuję się doskonale. Oto góra Pejawepoleh, Wzgórze Żółwia, jest to indiańska góra Ararat*. Czerwonoskórzy przechowują także w pamięci wspomnienie dawnego potopu. Indianie Wrony powiadają, że tylko jedna para ludzi ocalała z potopu. Uratował ich Wielki Duch, posyłając ogromnego żółwia. Para z całym swoim dobytkiem zamieszkała na grzbiecie tego zwierzęcia i przebywała na nim dopóki woda nie opadła. Ta góra, którą widzicie, jest wyższa od otaczających, dlatego pierwsza wynurzyła się spod wody jako wyspa. Żółw stanął na niej, dzięki czemu para ludzi mogła wylądować. Wtedy dusza zwierzęcia, spełniwszy swoją misję, wróciła do Wielkiego Ducha, ale cielsko zostało na wierzchołku góry i skamieniało na pamiątkę tamtych czasów.

Opowiedział mi o tym Szunkaszetsza, Wielki Pies, wo.jownik.ze szczep Wron, w którego towarzystwie przed wielu laty obozowałem na górze Żółwia.

A więc nie chce pan jechać śladem Siuksów Ogallalla?

- Nie. Znam bliższą drogę, która o wiele prędzej doprowadzi nas do celu. Obszary Yellowstone są mało dostępne. Zdaje się, że Ogallalla nie znają tego skrótu. Sądząc z kierunku, zwrócą się ku Wielkiemu Kanionowi, dalej ku Yellowstone, aby przez rzekę Mostów dostać się do Góry Kraterów, gdyż miejsce, w którym mają stracić Baumanna i jego towarzyszy, nie leży nad Yellowstone River, lecz nad rzeką Kraterów Aby do niej dotrzeć, zakreślą ogromne półkole o średnicy sześćdziesięciu kilometrów w bardzo trudnym i mało dostępnym terenie. Natomiast droga, którą ja wybieram, biegnie prosto i prowadzi do rzeki Pelikan, a potem między tą rzeką a wzgórzem Siarkowym do ujścia rzeki Yellowstone i do jeziora o tej samej nazwie. Myślę, że łatwo natrafimy na rzekę Bridge, a w pobliżu odnajdziemy ślad Siuksów i pojedziemy do Basenu Gejzerów nad rzeką Kraterów. Ta droga jest również uciążliwa, ale mniej niż droga Siuksów, dlatego prawdopodobnie dojedziemy do celu wcześniej niż Ogallalla.

Mała, od dawna wyschnięta rzeczka, przed wiekami z zachodu toczyła swoje wody do dawnego jeziora i wryła się głęboko w brzegi.

Koryto było bardzo wąskie, a ujście zamaskowane tak bujną roślinnością, że tylko bardzo byстрыm okiem można było je odnaleźć. Old Shatterhand skierował tam konia. Przedostali się przez gęste krzaki i jechali korytem dawnego potoku, dopóki nie skończyło się ono wąskim rowem w rejonie zwanym Undulating. Dalej była niewielka preria podzielona zalesionymi wzgórzami, przez które jeźdźcy przejechali bez trudności.

Wieczorem dojechali do potoku, który prawdopodobnie należał do dorzecza rzeki Big Horn. Należało pomyśleć o noclegu. Wkrótce jeźdźcy dostrzegli miejsce nadające się na obozowisko. Potok rozszerzał się tutaj i stanowił mały, płytki staw o brzegach zarośniętych gęstą trawą.

W jasnej, przejrzystej do dna wodzie widać było liczne pstrągi - zapowiedź smacznego posiłku. Z jednej strony brzeg wznosił się stromo z drugiej był równy i gęsto zalesiony. Duża ilość konarów i gałęzi, które leżały na ziemi świadczyła, że ubiegłej zimy runęły one pod ciężarem śniegu. Stanowiły niejako zasiek dookoła miejsca wybranego na obozowisko, zasiek zapewniający bezpieczeństwo i dostarczający opału.

- Pstrągi! - zawołał Gruby Jemmy, zeskakując ze swego rumaka, - Urządzimy sobie wspaniałą ucztę!

- Nie tak szybko! - odezwał się Old Shatterhand. - Przede wszystkim musimy się postarać, żeby ryby nie uciekły. Przynieście gałęzie. Zrobimy dwie zapory.

Po napojeniu koni, Indianie nazbierali cienkich gałązek, zaostrzyli ich końce i wbili je przy ujściu potoku w miękkie dno tak, że tworzyły gęstą kratę. Taką samą zaporę postawili w górnej części stawu, lecz nie tam gdzie strumyk do niego wpływał, a jeszcze wyżej, tak, że była ona oddalona mniej więcej o dwadzieścia kroków od górnej części stawu.

Ryby znalazły się w matni.

Gruby Jemmy zaczął ściągać z nóg swoje wielkie buty z wyłogami.

Zdjął już pas i położył go wraz ze strzelbą na brzegu.

- Słuchaj no, mały - rzekł Długi Davy - zdaje się, że chcesz wejść do wody.

- Naturalnie, To dopiero będzie przyjemność.

- Zostaw to raczej ludziom wyższym od ciebie. Taki co wystaje ledwo ponad stołek może trafić na głębie.

- Nie szkodzi. Umiem pływać. Poza tym staw jest płytki. - Jemmy podszedł bliżej, aby przekonać się dokładnie jaki jest poziom wody.

- Najwyżej metr.

- Można się pomylić. Kiedy ktoś patrzy na dno, wydaje się ono bliższe niż jest w rzeczywistości.

- E, tam! Chodź i popatrz. Widać każde ziarenko piasku, a ponieważ... do licha!

Nachylił się za mocno, stracił równowagę i wpadł do stawu. Trafił akurat na najgłębsze miejsce. Znikł na chwilę pod wodą, ale szybko wypłynął na powierzchnię. Był dobrym pływakiem i wcale by mu nie przeszkadzała ta przymusowa kąpiel, gdyby nie miał na sobie futra.

Natomiast jego szeroki kapelusz pływał niczym wielki liść.

- O rany - roześmiał się Długi Davy. - Chodźcie tu wszyscy, obejrzyjcie dobrze pstrąga, którego trzeba schwytać. Ta gruba ryba starczy na wiele porcji.

Mały Sas stał w pobliżu. W pseudonaukowych dyskusjach nieraz się sprzeczał z Grubym Jemmy'm, ale lubił go bardzo, a poza tym byli przecież rodakami.

- Wielki Boże! - krzyknął przerażony. - Co pan zrobił, panie Pfefferkorn? Czemu pan skoczył do wody? Czy nie zmókł pan?

- Do suchej nitki - odparł ze śmiechem Jemmy.

- Do suchej nitki! To niebezpieczne. Może pan zachorować! I do tego wpadł pan w futrze! Niech pan natychmiast wychodzi. Już ja się zajmę kapeluszem. Wyłowię go gałęzią.

Mówiąc to znalazł długą gałąź i próbował złowić kapelusz. Pseudowędka była jednak za krótka, więc pochylał się coraz bardziej do przodu.

- Niech pan uważa - ostrzegał go Jemmy wychodząc z wody. Sam mogę schwytać moją^akrycie głowy. I tak już jestem mokry.

- Niech pan nie plecie głupstw! - odparł Frank. Jeśli pan myśli, że jestem takim niedołęgą jak pan, to myli się pan setnie. Ja nie wpadnę do wody. I jeśli ten przeklęty kapelinder popłynie dalej, to nachylę się jeszcze bardziej i...O wielki Boże!

- Wpadł do wody. Widok był tak komiczny, że wszyscy biali roześmieli się głośno. Natomiast czerwonoskórzy zachowali zewnętrzną powagę, mimo że w duszy zapewne zawtórowali im śmiechem.

- No, kto nie jest takim niedołęgą jak ja?—zapytał Jemmy, któremu ze śmiechu kręciły się łzy w oczach.

Frank pluskał się w wodzie, strojąc gniewne miny.

- Z czego tu się śmiać? - zawołał. - Pływam jako ofiara swojej usługowości, samarytańskiej miłości do bliźniego i w podzięce za miłosierdzie zbieram śmiech i drwiny. Na drugi raz dobrze to sobie zapamiętam.

Rozumiecie?

- Nie śmieję się, ale płaczę, drogi panie HobbIe-Franku. Czy pan tego nie widzi?

- Niech pan milczy z łaski swojej! Nie pozwolę z siebie kpić. Nic mnie ta kąpiel nie obchodzi, martwię się tylko, że frak przemoknie.

A tam oto płynie moja Amazonka przy boku pańskiego kapelusza.

Kastor i Phylaks, jak to mówią w mitologii i w astronomii. To jest właśnie...

- Mówi się Kastor* i Polluks* - poprawił Jemmy.

- Niech pan będzie cicho! Polluks! Jako leśniczy tyle miałem do czynienia z psami myśliwskimi, że wiem dokładnie, czy to Polluks czy Phylaks. Wypraszam sobie takie poprawki. Swoją drogą pragnę wyłowić szlachetne rodzeństwo. Właściwie nie powinienem ruszać pańskiego kapelusza. Nie zasłużył pan sobie na to, abym z powodu pańskiego nakrycia głowy zmoczył się jeszcze bardziej.

Wyłowił jednak oba kapelusze.

- Tak - dodał. - Uratowane! A teraz weźmiemy się do wyjęcia pańskiego futra i mojego fraka, które będą się zalewać gorzkimi łzami.

Już teraz z nich kapie.

Obaj mieli tyle kłopotu i zajęcia ze swymi przemoczonymi ubiorami, że ku swojemu zmartwieniu nie mogli przyłączyć się do rozpoczętego połowu ryb. Gromada Szoszonów stanęła w wodzie na jednym końcu stawu i posuwając się do przodu zapędziła ryby do drugiego brzegu, gdzie już czekała na nie następna grupa Indian. Pstrągi wpędzone w cieśninę nie mogły się ani przedostać przez kratę, ani cofnąć. Indianie chwyтали je pełnymi garściami i rzucali ponad swoimi głowami na brzeg.

Półów nie trwał długo.

Tymczasem przygotowano płaskie doły i wyłożono je kamieniami.

Położono na nich ryby i przykryto drugą warstwą kamieni, na której rozpalono ogień. Między rozgrzаныmi kamieniami pstrągi szybko się upiekły. Były miękkie i bardzo smaczne.

Po posiłku spędzono na jedno miejsce konie i rozstawiono strażników, po jednym w każdym kierunku.

Podróźni rozpalili ogniska, dookoła których zebrano się grupami. Oczywiście wszyscy biali skupili się przy jednym. Old Shatterhand, Gruby Jemmy, Marcin Baumann i mały Frank byli Niemcami; Długi Davy nauczył się od swego przyjaciela tyle, że rozumiał po niemiecku i chociaż nie mówił, można było się porozumiewać w tym języku. Nawet Bob rozumiał coś niecoś, wiadomo bowiem, że Murzyni posiadają wybitną pamięć językową.

Takie gawędy przy ognisku w puszczy albo na prerii mają swój niezwykły urok. Opowiada się swoje własne przeżycia lub czyny znakomitych myśliwych. Trudno uwierzyć, jak szybko na Dzikim Zachodzie mimo ogromnych odległości i uciążliwych dróg rozchodzi się wieść o wybitnym czynie, o znakomitej osobie, o niezwykłym zdarzeniu.

Biegnie ona niczym strzała od ogniska do ogniska. Jeśli Czarne Stopy snnd rzeki Marlaś wykopały tomahawk wojny to po czternastu dniach mówią już o tym Komańczowie znad Rio Conchas. A jeśli wśród szczepu Wallawalah wyróżnia się wielki wojownik, to wieść o nim dociera do Dakoty z Coteau znad Missouri.

Jak można się było tego spodziewać, mowa była o bohaterskim czynie Marcina Baumanna. Hobbie-Frank powiedział:

- To prawda, dobrze się wywiązałeś z zadania, ale nie jesteś tutaj jedynym człowiekiem, który może się chlubić swoją przygodą. Mój niedźwiedź, na którego kiedyś się natknąłem też nie był z papieru.

- Co? - zapytał Jemmy. - Pan także miał przygodę z niedźwiedziem?

- I to jeszcze jaką! Ja z nim, a on ze mną.

- Musi pan opowiedzieć!

- Czemu nie? - Hobbie-Frank odkaślił i zaczął: Nie byłem wtedy jeszcze długo w Stanach Zjednoczonych, to znaczy, że nie znałem jeszcze tutejszych stosunków. Nie chcę bynajmniej powiedzieć, że nie jestem wykształcony. Wprost przeciwnie, przywiozłem wielki zapas cieleśnych i duchowych zalet. Jednak wszystkiego trzeba się uczyć. Czego się nie widziało ani uprawiało, tego nie można znać. Bankier, na przykład, jakkolwiek będzie mądry, nie potrafi tak grać na kobzie jak ja i pan, a uczony profesor eksperymentalnej astronomii nie potrafił od razu, ot tak, bez wskazówek, zostać kucharzem. Przytaczam ten przykład dla własnego usprawiedliwienia i obrony. Otóż moja przygoda rozegrała się w pobliżu Arkansasu w Colorado. Poprzednio włóczyłem się po rozmaitych miastach Stanów Zjednoczonych i uciulałem małą sumkę. Chciałem obracając tym kapitałem rozpocząć handel na Zachodzie, chciałem zostać tym, co tu nazywają a pedlar*. Ruszyłem w drogę z dość okazałym zapasem różnych towarów. Szczęście mi sprzyjało i już w okolicy fortu Lyon nad Arkansas pozbyłem się reszty towarów.

Splawiłem nawet wózek z dobrym zarobkiem. Siedziałem na koniu ze strzelbą w rękę, z nabita kieszka u boku i postanowiłem dla własnej przyjemności wybrać się nieco dalej. Już wtedy miałem chęć zostać sławnym westmanem.

- Jakim pan istotnie jest - wtrącił Jemmy.

- No, jeszcze nie. Ale myślę, że jeśli teraz uderzymy na Siuksów, nie zostaną za frontem jak Hannibal* pod Waterloo* i niezawodnie będę miał sposobność uzyskania sławnego imienia. Lecz opowiadajmy dalej.

W tym czasie Colorado było jeszcze mało znane. Znalezione olbrzymie pola złota, więc ze wschodu przybywali prospektorzy* i diggersi*.

Prawdziwych osiedleńców zjawiało się niewielu. Byłem więc zdumiony, gdy natrafiłem po drodze na prawdziwą, normalną farmę. Składała się z małej strażnicy, rozległych pól i wielkich łąk. Settlement* wznosiło się na brzegu Purgatorio, w przepięknym klonowym lesie. Zdziwiłem się też bardzo widząc w każdym klonie rurę, przez którą sok drzewny wlewał się do naczyń wkopanych w ziemię. Była wiosna, najlepszy czas do zbierania cukru klonowego. W pobliżu strażnicy stały długie, obszerne, ale dość płytkie drewniane kadzie pełne soku. Zaznaczam to ze względu na rolę, jaką błogosławiony sok odgrywa w moim opowiadaniu.

- Ta osada na pewno nie była własnością Jankesa - rzekł Old Shatterhand. - Jankes udałby się na poszukiwanie złota, zamiast jako sguatter* siedzieć na gospodarstwie.

- Słusznie. Właściciel farmy pochodził z Norwegii. Przyjął mnie bardzo gościnnie. Mieszkał z rodziną, a więc z żoną, dwoma synami i córką. Proszono mnie, abym został jak najdłużej. Chętnie przystałem na to i starałem się pomagać w gospodarstwie. Rozmaite przysługi i moja wrodzona duchowa przewaga zyskały mi zaufanie do tego stopnia, że zostawili mnie samego na farmie. Chodzi o to, że u jednego z sąsiadów miał się odbyć tak zwany house-raising-frolic* i

cała rodzina chciała wziąć w nim udział. Moja obecność bardzo ich cieszyła, gdyż mogłem zostać w domu jako householder* i dbać o bezpieczeństwo domu. A więc wszyscy pojechali i zostałem sam. Sąsiadem nazywają tu każdego, kto mieszka w odległości dwunastogodzinnej jazdy koniem. Tak właśnie odległa była farma tego sąsiada, wobec czego nie należało się spodziewać powrotu moich gospodarzy przed upływem dwóch dni.

- Naprawdę pozyskał pan sobie wielkie zaufanie - rzekł Jemmy.

- Czemu nie? Czy pan myśli, że mógłbym uciec wraz z farmą? Czy wyglądam na rabusia?

- O tym nie ma mowy. Wtedy włóczyło się tam mnóstwo obieżyświatów i bandytów. Czy mógłby pan sam jeden dać radę całej bandzie?

Trzej ludzie nie zwracają uwagi na jedną kulę.

- Ja także. Muszę dodać, że z boku, koło domu, stało wysokie drzewo ogołocone z kory aż do pierwszych gałęzi. Kora służyła do farbowania na żółto. Pień był bardzo gładki - trzeba było mieć akrobatyczne zdolności, aby się wspiąć na wierzchołek.

- Nikt chyba tego od pana nie żądał? - wtrącił Długi Davy.

- No, oczywiście, nikt tego nie żądał, ale mogą się zdarzyć rozmaite wypadki, które nawet najszlachetniejszego człowieka zapędzą na sam wierzchołek drzewa. Za parę chwil przekona się pan o słuszności tego prawa natury. A więc, aby nie zejść z tematu, zostałem sam jeden w całej farmie i medytowałem nad sposobem przepędzenia długich godzin samotności. Prawda! W strażnicy gliniana tarcica była uszkodzona, wykruszyła się też gliniana zaprawa pomiędzy desek ściany. Właśnie w celach remontu farmer wykopał koło domu dół długi na cztery metry, szeroki na trzy i wypełnił go po brzegi gliną. Natchniony chęcią do pracy pędzę ^i dołowi i zatrzymuję się...jak myślicie, wobec czego lub wobec kogo?

- Wobec niedźwiedzia? - zapytał Jemmy.

- Tak, wobec niedźwiedzia, który opuścił swój górski azyl i wywędrował, aby obejrzeć świat i ludzi. Ale bynajmniej nie przypadło mi to do gustu. Łotr obejrzał mnie z taką miną, że jednym potężnym susem, którego już chyba nie potrafię powtórzyć, cofnąłem się. Drapieжник z taką samą szybkością skoczył za mną. Z niespodzianą zręcznością pędziłem co sił. Jak indyjski tygrys doskoczyłem do drzewa i jak rakieta wspiąłem się na górę. Trudno uwierzyć, do czego zdolny jest człowiek w podobnie niesympatycznych okolicznościach.

- Jednak już przedtem był pan wygimnastykowany? - Zapytał Jemmy.

- Nie bardzo, wcale nie bardzo. Ale kiedy za kimś stoi niedźwiedź, wtedy człowiek nie pyta się, czy włożenie jest pożyteczne dla zdrowia czy szkodliwe, tylko wchodzi z prawdziwą namietnością, tak jak ja wtedy.

Na nieszczęście drzewo było, jak już zaznaczyłem, zbyt gładkie. Nie zdołałem dotrzeć do gałęzi, a trzymać się pnia było niezmiernie trudno.

- O, biada! Mogło się źle skończyć. Nie miał pan broni. A co zrobił niedźwiedź?

- Coś, czego mógłby zaniechać bez wyrzutów sumienia. Mianowicie Wspiął się za mną.

—Ach, w takim razie, na szczęście, nie był to grizzly!

- To mnie nie obchodziło. Wtedy niedźwiedź był dla mnie niedźwiedziem. Trzymałem się kurczowo pnia i spojrzałem w dół. Niedźwiedź podniósł się, objął pień i powoli zaczął się wspinać. Stanowiło to pewnie niezłą zabawę, bo wielce zadowolony mruczał coś pod nosem, jak kot, ale głośniej. Ja natomiast mruczałem nie tylko ustami, lecz całą osobą z ogromnego napięcia, z jakim się trzymałem. Niedźwiedź zbliżał się coraz bardziej. Nie mogłem już dłużej pozostać na swoim stanowisku.

Musiałem wspiąć się wyżej. Ledwo jednak podniosłem rękę, aby położyć ją wyżej, straciłem równowagę. Chwyciłem się wprawdzie od razu za pień, ale siła przyciągania Matki-Ziemi nie wypuściła już ofiary ze swoich szponów. Mogłem sobie tylko pozwolić na krótkie, przerażone westchnienie, po czym zleciałem, niczym dwudziestocetnarowy* młot, z taką siłą na niedźwiedzia, że poleciał; ze mną. Runął na ziemię, a ja na niego.

Mały Sas opowiadał z taką werwą i tak interesująco, że wszyscy słuchali go z napięciem, teraz zagrział wybuch śmiechu.

- Tak, śmiecie się - mruknął. - Było mi wtedy wcale nie do śmiechu. Miałem wrażenie, że wszystkie części ciała upadły wzajemnie na siebie. Byłem tak oszołomiony upadkiem, że przez kilka sekund nie myślałem wcale o tym, że trzeba się podnieść.

- A niedźwiedź? - zapytał Jemmy.

- Leżał równie cicho pode mną, jak ja na nim. Ale po chwili wyrwał się, co mnie doprowadziło do świadomości moich obowiązków osobistych. Zerwałem się na równe nogi i czmychnąłem - a on za mną, czy ze strachu jak ja, czy też pragnąc utrzymać nawiązane ze mną stosunki - nie wiem. Właściwie chciałem dostać się do domu, ale miałem za mało czasu, gdyż bestia po prostu deptała mi po piętach. Strach przypiął mi skrzydła jaskółki, uwielokrotnił długość moich kulasów. Mknąłem jak kula karabinowa, skręciłem za róg domu i... wpadłem do dołu z gliną aż po ramiona. Zapomniałem o wszystkim, o niebie, o ziemi, o Europie i Ameryce, o mojej doczesnej wiedzy i o całej glinie. Tkwiłem jak rodzynek w cieście, gdy przy mnie rozległ się głośny, jak powiadają Amerykanie, „siap*„. Doznałem uderzenia jakby szturchnął mnie wagon kolejowy i nad głową moją rozprysła się glina. Pokryła mi całą twarz i tylko prawe oko ocalało. Odwróciłem się i oto spoglądałem na niedźwiedzia, który przez lekkomyślność zapomniał uważać na grunt i poleciał za mną. Widać było tylko jego łeb - straszliwie zeszpecony.

Oglądaliśmy się przez jakieś trzy sekundy, po czym on zwrócił się na lewo, a ja na prawo. Każdy z nas pragnął się dostać do gościnniejszego miejsca. Oczywiście niedźwiedź prędzej zdołał się wygrzebać niż ja.

Bałem się, że zostanie na miejscu, aby mnie nie spuszczać z oka, ale gdy tylko się wygramolił, pomknął w tym samym kierunku, skąd przybyliśmy i znikł za krawędzią nie racząc na mnie Spojrzeć. Farewell, big muddy beast!* Hobbie-Frank podniósł się w trakcie opowiadania i ilustrował opowieść takimi gestami, że słuchacze zrywali boki ze śmiechu - śmiechu, iaki się chyba jeszcze nigdy tutaj nie rozlegał. Jeśli ktoś przestał się śmiać, to po chwili musiał rozpocząć od nowa, tyle było komizmu w tym opowiadaniu.

- To bardzo wesoła przygoda - rzekł wreszcie Old Shatterhand.

- A najlepsze to, że skończyła się dobrze dla pana i dla niedźwiedzia.

- Także dla niedźwiedzia? - odparł Hobbie-Frank. - Oho! Nie skończyłem jeszcze. Gdy mój niedźwiedź znikł za krawędzią, usłyszałem huk jak gdyby przewracanego mebla. Nie zwracałem na to uwagi, starając się przede wszystkim wydostać z rowu. Kosztowało mnie to wiele trudu, gdyż glina była bardzo lepka i tylko dzięki temu się wygrzebałem, że zostawiłem buty. Przede wszystkim musiałem z gliny obmyć twarz. Poszedłem do strumyka płynącego za domem i zmyłem z siebie wszystko, co było zbyt ciężkie dla mojego zewnętrznego człowieczeństwa. Po czym wróciłem do tropu niedźwiedzia. Lecz on wcale jeszcze nie uciekł. Siedział pod drzewem i oblizywał się smacznie.

- Z gliny? E, tam! - rzekł Jemmy potrząsając głową. - O ile znam te zwierzęta, to szukałyby przede wszystkim wody.

- Wcale nie przyszło mu to do głowy, bo był mądrzejszy od pana, Mr Jemmy. Niedźwiedź namiętnie lubi słodczy. Wspominałem już o drewnianych kadziach, w których wyparowywał sok cukrowy. Niedźwiedź był tak mało zachwycony przygodą, że pragnął tylko jak najprędzej uciec. Po drodze wpadł na jedną z nich i przewrócił ją. Zapach cukru zatarł w pamięci niedźwiedzia upadek z drzewa, dół z gliną i mnie.

Zamiast stosować się do mojego farewell, położył się wygodnie pod drzewem i zaczął zlizywać słodczy z gliny. Był tak zajęty swoim ucztowaniem, że nie zauważył, jak powoli wkradłem się do domu. Teraz byłem bezpieczny i uzbrojony we flintę. Ponieważ bestia siedziała na tylnych łapach, ja natomiast mogłem długo celować, więc kula nie mogła chybić. Istotnie ugodziła niedźwiedzia w to miejsce, gdzie według zapewnień poetów, tkwią wszystkie szlachetne uczucia, mianowicie wprost w serce. Niedźwiedź drgnął, podniósł się znowu, oznajmił ostatnią wolę drgawkami przednich łap i zwałił się jak kłoda. Był martwy. Z powodu swej lekkomyślności i łakomstwa przestał istnieć jako istota żywa.

- Hm, hm - powiedział Old Shatterhand. - Grizzły nie potrafi łązić PO drzewach. Jakiej barwy był pański niedźwiedź?

- Miał czarną sierść.

- A ogon?

- Żółty.

- A więc to był szop, którego wcale nie powinien pan się bać.

- Oho! Widać było po nim, że lubi ludzkie mięso.

- Niech pan tak nie myśli! Szop chętniej żywi się owocami niż mięsem. Podejmuję się uporać z takim pocziwym zwierzęciem zupełnie bez żadnej broni. Parę silnych ciosów - a zwierzę ucieknie.

- Tak, to pan. Jak głosi pańskie imię, uderzeniem pięści zabija pan nawet człowieka. Ja natomiast jestem o wiele delikatniej zbudowany i bez broni nie odważyłbym się... stój! Co tam ucieka?

Frank podczas opowiadania podniósł się, a teraz stanął na głazie, który poprzednio leżał za nim i wypłoszył jakieś zwierzątko, które błyskawicznie pomknęło do dziupli pobliskiego pnia. Przestraszone stworzenie pobiegło tak szybko, że nikt nie był w stanie określić jego gatunku.

To drobne wydarzenie zelektryzowało Murzyna Boba. Zerwał się z miejsca, popędził do pnia i zawołał:

- Bestia, bestia tu biegać! Tu się schować w dziurze. Pan Bob wyjąć bestię z drzewa!

- Ostrożnie, ostrożnie - ostrzegł Old Shatterhand. - Nie wiesz, co to było za zwierzę.

- O, to być tylko mała bestia!

- W pewnych okolicznościach małe zwierzątko może stać się niebezpieczniej sze niż duże.

- Opos nie być niebezpieczny.

- Więc widziałeś, że to był opos?

- Tak, tak, pan Bob widzieć dokładnie oposa! Być tłusty, bardzo tłusty i dać bardzo smaczną pieczeń, o, bardzo smaczną!

Mlasnął językiem i oblizywał się, jak gdyby już miał przed sobą pieczeń.

- A ja myślę, że się mylisz. Opos nie jest tak chyży jak to zwierzątko.

- Opos bardzo, bardzo prędko odejść. Dlaczego pan Old Shatterhand nie życzyć Murzynowi Bob dobrą pieczeń? Pan Bob złapać oposa!

- No, jeśli jesteś tak pewny, to rób co ci się podoba. Ale nie zbliżaj się do nas z tą potrawą!

- Chętnie odsunąć się z potrawą. Pan Bob nikomu nie dać oposa.

Jeść pieczeń sam, sam jeden. Teraz uważać! Wyciągnąć oposa z dziury!

Mówiąc to sięgnął prawą ręką.

- Nie tak, nie tak! - rzekł Old Shatterhand. - Musisz schwytać zwierzę lewą ręką, a do prawej wziąć nóż. Gdy złapiesz ofiarę, wyciągnij ją i uklęknij na niej. Wtedy nie będzie mogła się bronić, a tyją zabijesz.

- Pięknie! To być bardzo pięknie! Pan Bob tak zrobić, bo pan Bob być wielki westman i znany myśliwy.

Zakasał lewy rękaw, ujął nóż prawą ręką i lewą sięgnął do otworu, z początku powoli i ostrożnie. Ale nagle wypuścił nóż z ręki, wydał głośny okrzyk strojąc przerażone grymasy i gestykulując prawą ręką.

- O Boże, o Boże! - lamentował na głos. - To boleć, bardzo boleć!

- Co takiego? Czy trzymasz zwierzątko?

- Czy pan Bob trzymać? Nie! Zwierzę trzymać pana Boba!

- O niedobrze! Czy wpiło się w twoją rękę?

- O tak, całe wpić się, całe!

- Wyciągnij, wyciągnij tylko!

- Nie, bo to bardzo boleć!

- Ale nie możesz zostawić tam ręki. Kiedy takie zwierzątko się wpija, to prędko nie puszcza! A więc ciągnij! A kiedy wyciągniesz, chwyć je prawą dłonią, abym mógł zadać cios pięścią.

Wyciągnął długi nóż zza pasa i podszedł do Boba. Murzyn wyciągał rękę, bardzo powoli, ze zgrzytaniem i jękami. Zwierzę nie puszczało. Bob szybko pociągnął - i wyrwał z otworu małego drapieznika. Uchwycił szybko za tylną część ciała zwierzaka spodziewając się, że Old Shatterhand użyje noża. Lecz Shatterhand cofnął się szybko i zawołał:

- Skunks, skunks! Precz! Uciekajcie, panowie!

Skunks jest to rodzaj amerykańskich tchórzy. Długi na czterdzieści centymetrów, ssak ten posiada prawie równej długości, w dwóch warstwach owłosiony ogon i szeroki nos na szpiczastej mordzie. Ma czarną sierść z dwoma białymi jak śnieg pasmami, które biegną osobno po bokach i łączą się na grzbiecie. Żywi się jajami i małymi stworzeniami; wychodzi na łowy w nocy, a resztę czasu spędza w norach i pustych pniach.

Zwierzę to zasługuje na swą łacińską nazwę Mephitis *. Pod ogonem posiada gruczoły wydzielające żółtą ciecz, która cuchnie odrażająco.

Spryskana tą cieczą odzież wydziela nieprzyjemną woń przez miesiące. Ponieważ skunks trafia strumieniem tej cieczy z dużej odległości, więc każdy, kto zna właściwości tego zwierzęcia, ucieka od niego jak najdalej. Popryskany człowiek musi na całe tygodnie pożegnać się z ludzkim towarzystwem.

Łakomy Bob zamiast wymarzonego oposa schwytał skunksa. Uczestnicy wyprawy zerwali się z miejsc i czym prędzej cofnęli.

- Odrzuć go! Szybko, szybko! - krzyczał Gruby Jemmy.

- Pan Bob nie móc odrzucić - lamentował Murzyn. - Wgryźć się w rękę i... och, ach... au... au, och! Faugh, shameless devil!* Teraz opryskać pana Boba! O śmierć, o, piekło, o diable! Jak pan Bob cuchnie!

Żaden człowiek nie móc wytrzymać! Pan Bob się zadusić! Precz, precz ze zwierzęciem, z tą zarazą!

Usiłował strząsnąć skunksa z ręki, ale bestyjka tak się wpiła, że nie mógł się jej pozbyć.

—Poczekać! Pan Bob już ciebie zrzucić, ty swine fell, * ty stinking monkey!* Prawą pięścią wymierzył cios w głowę zwierzęcia. To wprawdzie ogłuszyło skunksa, ale zęby wpiły się jeszcze głębiej w rękę Murzyna Rycząc nieomal z bólu, jednym ciosem zabił drapieznika.

- Tak - zawołał. - Teraz pan Bob zwyciężyć! Och, pan Bob nie bać się żadnego niedźwiedzia ani smelling beast*. Wszyscy panowie podejść i zobaczyć, jak pan Bob zabić drapieznika!

Niestety, nikt nie chciał się zbliżyć, cuchnął bowiem tak, że mimo oddalenia musieli się trzymać za nosy.

- No, czemu nie podejść? - zapytał Murzyn. - Czemu nie uczcić zwycięstwa razem z panem Bob?

- Urwipołciu, oszalałeś chyba! - odparł Gruby Jemmy. - Nie chcemy podchodzić! Cuchniesz gorzej niż zaraza!

- Tak, pan Bob brzydko pachnieć. Pan Bob sam to czuć. O, o, kto wytrzymać ten zapach?! - krzyknął dziko wykrzywając twarz.

- Rzuć skunksa! - zawołał Old Shatterhand.

Bob próbował, ale daremnie.

- Zęby być za głęboko w ręce pana Boba. Pan Bob nie móc otworzyć paszczy zwierzęcia!

Wzdychając i jęcząc na próżno starał się oderwać martwego ssaka.

- Thunder storm!* - zawołał wściekle. - Skunks nie móc wiecznie zostać na ręce pana Boba. Czy nie ma tu dobrego, miłego człowieka, który chce pomóc panu Bob?

Hobble-Frank ulitował się nad Murzynem. Serce nakazało mu pomóc Bobowi. Zbliżył się powoli i rzekł:

- Słuchaj, drogi Bobie, będę próbował. Wprawdzie bardzo cuchniesz, ale może moje człowieczeństwo potrafi to przetrzymać. Ale robię to pod warunkiem, że mnie nie dotkniesz.

- Pan Bob nie podejść do pana Franka! - żalił się Bob.

- No dobrze. Ale nie dotykaj także swoim odzieniem mojego, gdyż obaj będziemy cuchnęli, ja zaś wolałbym ten zaszczyt zostawić tobie; - Niech tylko pan Frank podejść! - Pan Bob mieć się na baczności Była to prawie bohaterska decyzja. Mały Sas zbliżał się do Murzyna Gdyby się tylko otarł o spryskane miejsce, musiałby podzielić jego los i wyrzec się towarzystwa ludzi, lub przynajmniej pożegnać się z ubra niem.

Im bliżej się przysuwał, tym dotkliwszy był zapach, który niemal zapierał mu dech. Wytrzymał go jednak mężnie.

- No, wyciągnij rękę, stary! - rozkazał. —Nie mogę przecież podejść zbyt blisko.

Bob wykonał polecenie. Sas uchwycił jedną rękę górną, a drugą ręką dolną szczękę zwierzęcia. Wytężył wszystkie siły i wreszcie zdołał oderwać martwego skunksa, po czym cofnął się czym prędzej. Murzyn rozsiewał taki zapach, że Frank omal nie zemdlał.

Bob był uszczęśliwiony. Ręka wprawdzie krwawiła, ale nie zwracał na to uwagi.

—Tak! - krzyczał. - Teraz pan Bob pokazać, jaki on odważny! Czy teraz wierzyć wszyscy biali i czerwoni panowie, że czarny Murzyn się nie bać?

Mówiąc to podchodził do towarzystwa. Jednak Old Shatterhand przyłożył strzelbę do ramienia, skierował lufę w Murzyna i zawołał:

- Stój, ani kroku dalej!

- O wielki Boże! Dlaczego celować w biedny, dobry Murzyn?

- Dlatego, że nas tym zapachem porazisz! Umykaj do wody, jak najdalej stąd i zrzuć z siebie ubranie!

- Zrzucić ubranie? Pan Bob mieć się pozbawić piękny szlafrok i spodnie i kamizelka?

- Wszystko, wszystko zdejmij! Później wrócisz i usiądziesz po szyję w wodzie. A więc szybko! Im dłużej zwlekasz, tym bardziej będziesz cuchnąć!

- Co za nieszczęście! Mój piękny strój! Pan Bob go wyprać, a potem nie cuchnąć.

- Nie, pan Bob usłucha, bo będzie źle. A więc - raz, dwa - i - trzzz... - krzyknął Old Shatterhand zbliżając się ze wzniesioną strzelbą do Murzyna.

- Nie, Nie! Nie strzelać! Pan Bob uciekać daleko, bardzo prędko, prędko!

Znikł czym prędzej w mrokach nocy. Oczywiście Old Shatterhand żartował aby zmusić Murzyna do wykonania prośby. Pan Bob niebawem wrócił i usiadł w wodzie, żeby pozbyć się nieznosnego zapachu. Zamiast mydła dostał sporo sadła niedźwiedziego, którego nie brak było przy ognisku.

- Szkoda takiego pięknego sadła - żalił się. - Pan Bob móc wcierać we włosy to piękne sadło i zrobić wiele loków. Pan Bob być wybornym ringletman*, ale nie być urodzony Murzyn, bo móc splatać loki tak długie, tak bardzo długie!

- Myj się! - nalegał Jemmy. - Nie myśl teraz o swojej urodzie, tylko o naszych nosach!

Z pocziwego Boba, mimo że siedział w wodzie emanował niemiły zapach.

- Ale - zapytał - jak długo musieć pan Bob siedzieć w wodzie i myć się?

- Tak długo, aż tutaj pozostaniemy, a więc do rana.

- Pan Bob nie móc tak długo wytrzymać!

- Zmusimy cię. Nie trzeba było bez namysłu rzucać się do dziupli pytanie jednak, czy pozostałe w wodzie pstrągi wytrzymają. Nie wiem.

czy ryby posiadają zmysł powonienia, ale jeśli tak, to nie będą ucieszone twoim towarzystwem.

- A kiedy pan Bob móc wziąć swój szlafrok i wymyć go?

- Nigdy.

- Ale co włożyć biedny pan Bob?!

- Tak, to przykra sprawa. Nie ma zapasowej odzieży. Będziesz musiał wejść w skórę grizzly'ego, którego zabił Marcin. Być może nieco dalej w górach znajdziemy ocalałe resztki jakiegoś pradawnego krawca.

Ale tymczasem będziesz jechał na samym końcu oddziału, gdyż w przeciagu co najmniej ośmiu dni nie powinieneś się do nas zbliżać. A zatem myj się pilnie! Im bardziej będziesz się nacierał, tym prędzej stracisz zły zapach!

Bob nacierał się z całych sił. Tylko głowa sterczała z wody i stroiła takie grymasy, że nie można było powstrzymać się od śmiechu.

Reszta towarzystwa wróciła tymczasem do ogniska. Oczywiście, na początku westmani rozmawiali o tragikomicznej przygodzie Boba.

Potem poprosili Długiego Davy'ego, by opowiedział jakieś przeżycie.

Opowiedział o pewnym spotkaniu z traperem Juggle-Fredem*, który służył z celności strażaków. Davy opisał parę jego sztuczek i dodał.

- Ale istnieją podobni strzelcy. Znam dwóch, których nikt nie zdołał prześcignąć. To Winnetou i Old Shatterhand. Proszę, czy nie zechciałby pan nam opowiedzieć jakiejś przygody?

Te słowa były skierowane do Old Shatterhanda, który przez chwilę się namyślał. Odetchnął głęboko, jak gdyby chciał określić jakiś daleki zapach.

- Tak, ten drab w wodzie jeszcze cuchnie przyzwoicie - zauważył Jemmy.

- O, nie o niego chodzi - odparł Old Shatterhand rzucając badawcze spojrzenie na swego konia, który przestał żuć i wciągał w nozdrza powietrze.

- A więc wywahał pan coś innego? - zapytał Davy.

- Nie. - I zwracając się szeptem do Winnetou dodał: - Tesziini!

To znaczy: „Uważaj!”. Ponieważ nikt nie rozumiał narzecza Apaczow, obecni nie wiedzieli co znaczą te słowa. Winnetou skinął głową i sięgnął po strzelbę.

Rumak Old Shatterhanda, parszając, zwrócił łeb do ogniska. Oczy mu płonęły.

- Jszhoszni.' - zawołał Old Shatterhand, po czym szlachetne zwierzę natychmiast położyło się na trawie.

Ponieważ także Old Shatterhand wziął do ręki sztucer, Jemmy zapytał:

- Co się stało, sir? Pański koń, zdaje się, coś wyczuł?

- Zwąchał zapach Murzyna - uspokoił go zapytany.

- Ale obaj złapaliście za broń!

- Ponieważ chcę wam opowiedzieć o strzale biodrowym. Słyszeliście coś o tym?

Old Shatterhand niepostrzeżenie dla innych, a tak samo i Winnetou, badał wzrokiem skraj lasu rozciągającego się na przeciwległym brzegu stawu oraz rozsiane tam gązdy. Zsunął kapelusz tak nisko na oczy, że nie sposób było określić w jakim kierunku i na co spogląda. Po chwili rzekł:

- Mówię o wypadku, kiedy się przykłada strzelbę nie jak zwykle, ale do biodra.

- W takim wypadku nie można celować.

- Można, ale jest to bardzo trudne. Znam niejednego wytrawnego westmana, który na ogół nigdy nie pudłuje, ale przy takim strzale zawsze chybia.

- Po cóż więc stosuje się ten strzał biodrowy? Przecież lepiej strzelać zwyczajnie i być pewnym strzału!

- Bynajmniej. Bywają sytuacje, kiedy nie umiemy strzelać we wspomniany sposób westman jest z góry skazany na śmierć. Strzela się tak tylko wtedy, kiedy się leży lub siedzi na ziemi i kiedy wróg nie powinien wiedzieć, że się w niego mierzy. Niech pan sobie pomyśli, że w pobliżu znajdują się wrocy Indianie, którzy zamierzają na nas napaść.

Wysłali wywiadowców, aby się dowiedzieć, ilu nas jest, czy miejsce nadaje się do napadu, czy zarządziliśmy środki ostrożności. Wywiadowcy się czołgają...

- I szybko spostrzegają nasze strażę! - wtrącił Frank. • - To nie jest tak oczywiste jak pan sądzi. Ja na przykład skradałem się do namiotu Oihtka-petay, chociaż zaciągnął strażę i chociaż teren stanowił gładką równinę. Tu natomiast stoją dokoła drzewa, które umożliwiają szpiegowanie. A więc wywiadowcy przekradli się przez łańcuch posterunków. Leżą na skraju lasu lub pomiędzy chrustem i gałęziami zwalonymi przez wichry i oglądają nas. Jeśli im się uda wrócić do swoich, jesteśmy zgubieni - napadną na nas niepostrzeżenie i zabiją.

Najlepiej jest unieszkodliwić wywiadowców.

- A więc zastrzelić?

- Tak. Jestem przeciwnikiem przelewu krwi, gdy można tego uniknąć. Ale w takim razie ma się do wyboru albo nie oszczędzać wroga, albo popełnić świadome samobójstwo. Trzeba więc posłać kule.

- Tkih akan! - Są blisko! - szepnął wódz Apaczów.

- Teszishi-tfcih - Widzę ich - odparł Old Shatterhand.

- Naki! - Dwóch!

- Ha-oh.' - Tak!

- Szi-ntsage, ni-akaya. Tayassi! - Bierz tego, a ja wezmę tamtego.

W czoła!

Apacz mówiąc to przesunął rękę z lewej strony do prawej.

- Niech pan powie, co za tajemnice macie z Winnetou? - zapytał Davy.

- Nic szczególnego. Powiedziałem Winnetou w narzeczu Apaczów, aby mi pomógł zademonstrować strzał biodrowy.

- No, znam to już. Mnie się, niestety, nie udaje, choć nieraz już ćwiczyłem. Wracając do pańskiego przykładu zaznaczę, że trzeba widzieć wywiadowców zanim się do nich strzela.

- Naturalnie.

- W ciemnościach nocy, w gąszczu?

- Tak.

- Ale przecież nie wysuną się tak, aby ich dostrzeżono!

- Hm, może jednak ich widzę.

- Do piorunów! Słyszałem wprawdzie, że niektórzy westmani potrafią w ciemnościach dojrzeć oczy skradającego się wroga, Tak... Na przykład nasz Gruby Jemmy twierdzi, że posiada ten dar, ale nie miał sposobności tego dowieść.

- Jeżeli tylko o to chodzi, to niebawem może się nadarzyć taka sposobność.

- Bardzo się cieszę. Uważałem to za rzecz niemożliwą.

Shatterhand znów obejrzał skraj lasu, skinął z zadowoleniem głową i odparł:

- Czy nie widział pan w nocy w morzu błyszczących ślepi wilka morskiego?

- Nie.

- Te ślepie są dokładnie widoczne. Rozsiewają fosforyczny blask, chociaż nie w tym samym stopniu. Im wzrok jest bardziej natężony, tym bardziej widoczne są oczy. Gdyby na przykład tu, w zagajniku, znajdował się wywiadowca, który nas podpatruje, ja i Winnetou zauważylibyśmy jego oczy.

- To byłoby nadzwyczajne! - przyznał Davy. - Co powiesz o tym, mój stary Jemmy?

- Myślę, że bynajmniej nie jestem ślepy - odparł Grubas. - Na szczęście nie grozi nam taka wizyta. Żałosna to sytuacja, jeśli trzeba koniecznie użyć strzału biodrowego. Prawda, sir?

- Tak - potwierdził Old Shatterhand. - Spójrz tam, panie Frank!

A więc przyjmijmy, że tam znajduje się wrogi wywiadowca, którego oczy błyszczą wśród listowia. Muszę go zabić, inaczej sam zginę. Ale jeśli przyłożę broń do policzka, wróg zobaczy, że zamierzam strzelać i natychmiast się wycofa. Być może skierował lufę na mnie i wypali prędzej niż ja.

Muszę temu zapobiec stosując strzał biodrowy. Siedzę przy tym spokojnie i bezstrosko, jak teraz. Chwytam za strzelbę i podnoszę nieco, jak gdybym chciał ją oglądać lub się nią bawić. Opuszczam - tak jak to teraz robię - głowę, niby spoglądam na dół, ale oczy schowane w cieniu kapelusza wbijam w cel właśnie tak, jak to robimy teraz z Winnetou.

Prawą ręką przyciska się mocno kolbę do bioder, a lufę do kolan, sięga się lewą ręką na prawo i kładzie ją na zamku strzelby, która dzięki temu zyskuje pewne położenie. Potem przykładają się wskazujący palec prawej ręki do kurka, celuje tak, aby kula trafiła w czoło wywiadowcy, co nie jest rzeczą łatwą i opuszcza się... tak!

Błysnął strzał i w tej samej chwili wypaliła strzelba Apacza. Obaj szybko zerwali się na nogi. Winnetou odrzucił strzelbę, chwycił nóż, skoczył jak pantera przez staw i zniknął w gąszczu.

- Uhwai k'unun! Uhwai pa-ave! Uhwai umpare! - Zgasić ogniska!

Nie ruszać się! Nie rozmawiać! - zawołał Old Shatterhand do Szoszonów. Jednocześnie strącił butem płonące polana do rzeki, po czym pomknął za Apaczem.

Szoszoni, a także i biali, zerwali się na równe nogi. Przytomni czerwonoskórzy wojownicy natychmiast wykonali rozkaz Old Shatterhanda i zatopili ogniska. Egipskie ciemności zaległy obóz, choć minęło cztery czy pięć sekund od chwili wystrzałów.

Nakazu milczenia przestrzegali również wszyscy, z wyjątkiem jednego człowieka, mianowicie Murzyna, który siedział w wodzie. Nad jego głową fruwały palące się gałęzie i sycząc gasły w rzece.

- Jezus, Jezus! - wołał. - Kto tu strzelać? Dlaczego rzucać ogień na biednego pana Boba? Czy pan Bob mieć spłonąć i utonąć? Czy mieć być ugotowany jak pstrągi?! Dlaczego być ciemno? O, pan Bob już nikogo nie widzieć!

- Milcz, człowieku! - zawołał Jemmy.

- Dlaczego pan Bob mieć milczeć! Dlaczego nie...

- Milcz, bo cię uderzę! Wrogowie w pobliżu!

Od tej chwili nie było słyhać głosu pana Boba. Siedział nieruchomo w wodzie, aby nie zdradzić swej obecności wrogom.

Dokoła panowała głucha cisza, zakłócana tylko od czasu do czasu uderzeniem kopyta lub parskaniem konia. Zaskoczeni tak nagle wojownicy skupili się gęsto. Indianie nie szepnęli ani słówka, jednak biali porozumiewali się szeptem.

Nagle rozległ się donośny głos Shatterhanda:

- Zapalić ogniska! Ale trzymać się z'dala, aby was nie zauważono!

- Jemmy i Davy uklękli, aby wykonać rozkaz, po czym natychmiast wycofali się w mroki nocy.

W blasku ognia widać było Winnetou i Old Shatterhanda, którzy wrócili każdy ze strzelbą w rękę i Indianinem na plecach. Wszyscy byli bardzo zaskoczeni tą szybką akcją, chcieli otoczyć wracających, ale Old Shatterhand zatrzymał ich:

- Nie ma czasu na opowiadanie! Przywiążcie zabitych do koni i wyruszamy. Wprawdzie tylko oni dwaj podkradli się do obozu, ale nie wiadomo, ilu jest za nimi. A więc szybko!

Obaj zabici mieli głowy przebite na wylot, zgodnie z poleceniem Winnetou: „Tayassi! - W czoła!”

Całe towarzystwo składało się z wytrawnych westmanów, a jednak tak celne i pewne strzały wprawiły ich w zdumienie. Szoszoni zaś szepotali między sobą i rzucali przesądne spojrzenia na obu strzelców.

Przygotowywano się do wymarszu. Zgaszono ogniska. Oddział z Winnetou i Old Shatterhandem na czele wyruszył w drogę.

Nikt nie pytał dokąd, polegano bowiem na obu znakomitych przewodnikach. Dolina tak się szybko zwężyła, że trzeba było jechać - gęsiego.

Względy bezpieczeństwa nie pozwalały na prowadzenie rozmów, a poza tym jazda gęsiego uniemożliwiała je.

Również Murzyn musiał ruszyć w drogę. Siedział na swym ogierze bez ubrania i musiał jechać na końcu, gdyż zapach złośliwego zwierzątka leszcze nie wywietrzał. Pocziwy Bob okrył się starą, zatłuszczoną derką santiio* Długiego Davy'ego, związaną wokół bioder, jak okrycia wyspiarzy z mórz południowych. Był w kiepskim humorze i nieustannie mruczał coś pod nosem.

Kawalkada jeźdźców posuwała się naprzód z ogromną szybkością przez długie godziny, z początku przez wąską dolinę, następnie przez szeroką, łysą wyżynę i znów na dół przez wąską prerię, aż wreszcie, o świcie dotarła do stromego przesmyku pomiędzy wysokimi, zalesionymi górami. U stóp stromej drogi obaj przewodnicy zatrzymali się i zeskoczyli z koni. Pozostali poszli za ich przykładem.

Szoszoni zdjęli z koni martwych czerwonoskórych i położyli ich na ziemi. Indianie otoczyli miejsce rozległym kołem. Wiedzieli, że teraz rozpocznie się bardzo trudne badanie. Tu mogli przemawiać tylko wodzowie. Pozostali musieli czekać, czy zechcą poprosić ich o rady.

Martwi wojownicy byli ubrani na sposób indiański, na poły w wełnę, na poły w skórę. Byli młodzi, mieli, nie więcej niż po dwadzieścia lat.

- Tak przypuszczałem - rzekł Old Shatterhand. - Tylko niedoświadczeni wojownicy, gdy podkradają się do nieprzyjacielskiego obozu, otwierają tak szeroko oczy, że widać ich blask. Chytry wywiadowca przymyka oczy. A wtedy nawet takim jak my trudno się spotkać z ich spojrzeniem. Do jakiego plemienia oni mogli należeć?

Pytanie było skierowane do Grubego Jemmy'ego.

- Hm - mruknął Gruby. - Czy uwierzy pan, że wprawia mnie pan w zakłopotanie?

- Wierzę, gdyż i ja sam nie potrafię odpowiedzieć od razu. Znajdują się na szlaku wojennym, to jest pewne, gdyż twarze mają pokryte barwami wojny, jakkolwiek trochę zatartymi. Czarny i czerwony kolor.

Jednak nie wyglądają na Siuksów. Ich odzież nie świadczy o ich pochodzeniu. Przeszukajmy kieszenie!

Kieszenie jednak świeciły pustką. Mimo skrupulatnych poszukiwań, nic nie znaleziono. Przy każdym ciele leżała strzelba. Zbadano je. Były nabite, ale nic nie mówiły o przynależności plemiennej zabitych.

- Może wcale nie byli niebezpieczni - rzekł Długi Davy. - Przybyli przypadkowo w te strony, zauważyli nasze ognisko i chcieli się dowiedzieć kogo mają przed sobą.

Old Shatterhand potrząsnął głową i odparł:

- Rozbiliśmy obóz w miejscu, dokąd się nie trafia przypadkowo.

Wytropili nasze ślady.

- To nie dowód!

- Nie. Ale na wszelki wypadek pozbyli się wszystkiego, co mogłoby świadczyć o ich pochodzeniu. Byli uzbrojeni w strzelby, ale nie mieli ołowiu ani prochu. Jest to jeszcze bardziej podejrzane, gdyż w ten sposób Indianin nie oddała się od ogniska. Należą do wojska i są wywiadowcami.

- Hm. Może nawet nie mieli koni.

- Czyżby! Niech pan obejrzy te spodnie! Czy nie są wewnątrz wytarte? Z czego powstały te ślady, jeśli nie od jazdy konnej?

- Może są już stare.

Old Shatterhand ukląkł i badał spodnie. Po chwili podniósł się i rzekł:

- Niech pan sprawdzi! Czuje się odór koński; ponieważ taki zapach prędko wietrzeje na powietrzu, więc obaj czerwonoskórzy musieli jeszcze wczoraj dosiadać rumaków.

W tej chwili podszedł Wohkadeh i rzekł:

- Niechaj znakomici mężowie pozwolą Wohkadehowi powiedzieć słówko, mimo że jest młody i niedoświadczony.

- Mów, owszem - rzekł życzliwie Old Shatterhand.

- Wohkadeh wprawdzie nie zna czerwonoskórych wojowników, ale zna koszulę jednego z nich.

Odchylił brzeg koszuli myśliwskiej, pokazał na niej cięcie i wyjaśnił:

- Wohkadeh wyciął swój totem, gdyż koszula miała należeć do niego.

- Ach, to dziwny zbieg okoliczności! Być może dowiemy się czegoś bliższego.

- Wohkadeh nie wie nic bliższego, ale przypuszcza, że ci dwaj młodzi wojownicy należą do plemienia Upsaroków.* - Na jakiej podstawie? - zapytał Old Shatterhand.

- Wohkadeh był obecny przy kradzieży dokonanej przez kilku Siuksów Ogallalla. Zjechaliśmy z góry zwanej przez białych Grzbietem Lisa i przeprawiliśmy się przez północny dopływ rzeki Cheyenne w miejscu, gdzie dopływ przemyka się między Potrójnymi Górami a górami Inyancara. Jadąc między rzeką a górą skręciliśmy za skraj lasu i zobaczyliśmy dziesięciu czy ośmiu czerwonoskórych, którzy się kąpali. Byli to Upsarokowie. Ogallalla na brzegu odbyli krótką naradę. Postanowiono zatem, aby ich jak najbardziej shańbić.

- Do licha! - krzyknął Old Shatterhand. - Nie zamierzano ich chyba ograbić z największej świętości, z leków?* - Mój biały brat odgadł. Siuksowie Ogallalla pod osłoną lasu podkradli się do miejsca, gdzie stały konie Upsaroków. Tam leżała również odzież, broń i leki. Ogallalla zeszli z koni i dokonali kradzieży.

- Czy przy rzeczach nie było strażnika?

- Nie. Upsarokowie nie przypuszczali, że oddział wrogich Ogallalla dotrze do tego miejsca. Siuksowie zrabowali konie, leki, większą część odzieży i broni. Następnie dosiedli rumaków i odjechali galopem. Przy podziale łupów Wohkadeh otrzymał koszulę myśliwską. Jednak nie chcąc zostać złodziejem, wyciął swój totem i w drodze powrotnej pozbył się jej po kryjomu.

- Kiedy to było?

- Dwa dni przed wysłaniem Wohkadeha na zwiady.

- A więc Upsarokowie czym prędzej zaopatrzyli się w nową broń, konie i odzież i pomknęli w ślad za złodziejami. Tymczasem znaleźli porzuconą koszulę, którą następnie włożył prawowity właściciel. Nie ma większej hańby dla czerwonego wojownika nad utratę świętych leków. Nie może wtedy tak długo pokazać się swoim, dopóki nie odzyska leków lub zdobędzie inne zabijając ich posiadacza. Indianin, który wyrusza, aby odzyskać stracony lek, jest zuchwały do szaleństwa.

Wszystko mu jedno kogo zabija, przyjaciela czy wroga. Sądzę więc, że wczoraj wieczorem uniknęliśmy bardzo poważnego niebezpieczeństwa.

Co by się stało, kochany panie Jemmy, gdybyśmy musieli polegać na pańskim wzroku?

- Hm - odparł Gruby z zakłopotaniem drapiąc się w głowę.

- W takim razie spoczęlibyśmy gdzieś w spokoju, ale bez skalpów i życia. Potrafię również dostrzec oko w mrokach nocy, ale wczoraj byłem tak pewny, że nie ma dokoła wrogiej istoty, że wcale się tym nie zajmowałem. Czy pan myśli, że Upsarokowie są za nami?

- Z pewnością ścigaj ą nas teraz i mają do tego prawo, gdyż zabiliśmy ich dwóch braci.

- A więc dziś wieczorem musimy być przygotowani na napad.

- Musimy się z tym liczyć - odpowiedział Old Shatterhand. - Co myśli o tym mój czerwony brat? Czy Wrony są wrogami Szoszonów?

To pytanie było skierowane do Oihka-petay.

- Nie. Są wrogami Siuksów Ogallalla, którzy są także naszymi wrogami. Nie wykopaliśmy przeciwko nim topom wojny, ale wojownicy Doszukujący leków są wrogami wszystkich ludzi. Trzeba się strzec przed nimi jak przed dzikimi zwierzętami. Niech moi biali bracia będą roztropni i poczynią odpowiednie zarządzenia.

Old Shatterhand spojrział na Winnetou, który dotychczas milczał.

Godne podziwu było wzajemne zrozumienie obu przyjaciół. Old Shatterhand nie wyraził swego planu,, a jednak Winnetou odgadł jego myśli i rzekł:

- Mój brat słusznie planuje.

- Zakreślić łuk wstecz?

- Tak. Winnetou podziela ten zamiar.

- To mnie cieszy. W takim razie od obrony przechodzimy do natarcia.

Jeśli się nie mylę, to w odległości dwóch godzin drogi znajdziemy miejsce doskonale nadające się do naszych zamierzeń.

- A więc nie traćmy daremnie czasu! - rzekł Davy. - Ale co zrobimy z tymi trupami?

- Skalpy obu Upsaroków należą do Old Shatterhanda i Winnetou, którzy ich zabili - rzekł Oihka-petay.

- Jestem chrześcijaninem. Nie skalpuję nikogo - odparł Old Shatterhand.

Winnetou zaś dodał z przeczącym gestem:

- Wódz nie potrzebuje skalpów tych chłopców, aby uświetnić swoje imię. Są dosyć nieszczęśliwi, bo bez leków odeszli do Wiecznych Ostępów. Nie należy zabijać ich dusz skalpowaniem. Niechaj spoczną pod kamieniami wraz z bronią, gdyż polegli jako wojownicy, którzy się odważyli podkraść do obozu wrogów. Howgh!

Przywódca Szoszonów tego się nie spodziewał. Zapytał ze zdumieniem:

- Moi bracia chcą ich pogrzebać? Przecież oni nastawali na nasze życie?

- Tak - rzekł Old Shatterhand. - Włożymy im do rąk broń posadzimy twarzami zwróconymi w kierunku świętych kamieniołomów, a następnie zakryjemy ich głazami. Tak czci się wojowników. Gdy Przybędą ich bracia, aby nas ścigać, dowiedzą się, że nie jesteśmy wrogami Upsaroków, ale przyjaciółmi. Okaż się szlachetnym wojownikiem i każ swoim ludziom przynieść kamienie, z których wzniesiemy grobowiec.

Szoszonom nie mogło się pomieścić w głowach podobne postępowanie, ale ponieważ odczuwali wobec obu znakomitych przyjaciół niezwykle podziw, więc nie odważyli się przeciwstawić ich życzeniu.

Obu poległych umieszczono w postawie siedzącej, twarzami na północny wschód, jednego na prawo, a drugiego na lewo od wylotu przesmyku. Włożono im do rąk broń, prf czym przykryto ich głazami. Następnie podjęto dalszą jazdę. Przedtem jednak Winnetou rzekł do Old Shatterhanda:

- Wódz Apaczów zostanie tutaj, aby oczekiwać nadejścia Wron.

Niech młody syn niedźwiedziarza dotrzyma mu towarzystwa.

Było to nie lada wyróżnienie i młodzieniec przyjął je z radosną dumą.

Obaj więc pozostali na miejscu, podczas gdy cały oddział pod wodzą Old Shatterhanda ruszył naprzód.

Za dnia mogli jechać szybciej niż poprzedniej nocy. Przesmyk, prowadząc przeważnie pod górę, głęboko wcinał się we wzgórze. Po upływie dwóch godzin, a więc ściśle przez Old Shatterhanda oznaczonego czasu, dotarli do wąskiego, wysokiego, niemal pionowo wznoszącego się kanionu. Wszereż przesmyku mieściło się tylko trzech jeźdźców. Nie można było nawet pieszo, a co dopiero konno, wdrapać się na ściany.

Dokoła rosły krzewy, wśród których można było się ukryć. Grunt był dosyć skalisty, ślady na nim nie zostawały. Old Shatterhand osadził konia w miejscu i wskazując na kanion rzekł:

- Gdy Upsarokowie przybędą, pozwolimy im wejść do kanionu.

Połowa naszego oddziału pod dowództwem Oihka-petay i Winnetou schroni się tutaj, ale kiedy oddam strzał, wjedzie za wrogami do kanionu.

Druga połowa zatrzyma się ze mną przy wylocie wąwozu. W ten sposób zamkniemy Upsaroków, którzy będą mieli do wyboru albo polec, albo dobrowolnie się poddać.

- Upsarokowie musieliby mieć sieczkę w głowach, gdyby weszli do wąwozu - odezwał się Gruby Jemmy.

- Oczywiście, nie wejdą od razu - rzekł Old Shatterhand. - Zatrzymają się tutaj i złożą radę. Rzecz najważniejsza, aby nie dostrzegli obecności naszych wojowników, którzy muszą się tutaj doskonale ukryć.

Mężny Bawół jest mądrym wojownikiem. Wyda słuszne rozkazy. A kiedy przybędzie Winnetou, dowództwo obejmą dwaj ludzie, na których mogę w zupełności polegać.

Należało się spodziewać, że wódz Szoszonów po tym pochlebstwie dołoży wszelkich starań, aby nie zawieść pokładanego w nim zaufania.

Oihka-petay pozostał z trzydziestoma wojownikami. Natomiast Old Shatterhand wraz z pozostałymi Indianami wszedł do wąwozu. Był on tak krótki, że stojąc u jednego wylotu, widział się drugi. W miejscu, gdzie wąwóz przechodził znów w szeroki przesmyk, olbrzymie drzewa wyciągały ku niebu swoje konary. Pomiedzy drzewami leżały liczne głązy.

Można było przypuszczać, że Old Shatterhand zatrzyma się właśnie w tym miejscu. A jednak tego nie zrobił. Pojechał dalej i tak rozpląsał konia, że zostawił za sobą wyraźny, rzucający się w oczy ślad.

- Ależ, sir - rzekł Gruby Jemmy - sądziłem, że zatrzymamy się u drugiego wylotu!

- Oczywiście! Ale przejedźmy się jeszcze i postarajmy zostawić wyraźny trop. Właściwie pańskie pytanie kompromituje pana, Mr Jemmy. To co robię, jest dosyć zrozumiałe.

Jechał tak jeszcze przez prawie kwadrans. Potem zatrzymał się, odwrócił do towarzyszy i zapytał:

- No, panowie, czy wiecie dlaczego tak daleko pojechałem?

- Aby zwieść wywiadowców? - odezwał się Jemmy.

- Tak. Wrony nie wejdą do wąwozu zanim się nie przekonają, że jest bezpieczny. Przypuszczam, że wywiadowcy, licząc się z zasadzką, będą bardzo ostrożni. Nie możemy zdradzić swej obecności i pozwolimy im wjechać bez żadnych przeszkód.

- A co zrobimy teraz?

- Teraz wrócimy do wylotu wąwozu, oczywiście nie tą samą drogą.

Zboczymy w las. Jedźcie za mną!

Po obu stronach przesmyku wznosiły się skalne ściany. Jedna z nich nadawała się do wspinania. Old Shatterhand jechał na przedzie. Na dosyć znacznej wysokości westman zboczył w kierunku wąwozu. Kiedy się zatrzymał, oddział znajdował się w połowie wysokości skał, równoległe do wylotu wąwozu. Stąd w parę chwil można było dotrzeć do wejścia i obsadzić je.

Jedźdźcy zeskoczyli z siodeł i przywiązali konie do drzew. Sami zaś usiedli na miękkim mchu.

- Czy długo będziemy czekać? - zapytał Jemmy.

- Możemy to obliczyć - odrzekł Old Shatterhand. - Upsarokowie zaczęli szukać obu wywiadowców o świcie. Zanim dowiedzieli się o wszystkim, mogły upłynąć dwie godziny. Dotarłszy do obu grobowców otworzą je i zbadają. Powiedzmy, że zajmie im to godzinę, co razem stanowi trzy godziny. Od obozu do tego miejsca jest pięć godzin drogi.

A więc jeśli jadą z tą szybkością co my, to powinni tu być w osiem godzin po świcie. Mamy więc pięć godzin wolnego czasu.

- O, to straszne! Co zrobimy z taką wiecznością?

- Nie powinien pan pytać - odpowiedział Hobbie-Frank. - Pomówimy nieco o sztuce i naukach. To kształci rozum, uszlachetnia serce, wyczula sumienie i daje naturalnemu charakterowi moc, która pozwala wytrwać burzę życia, a nie ulegać każdemu wietrzykowi. Nigdy nie zapomnę o sztuce i naukach. Stanowią mój chleb powszedni, mój Początek i mój koniec, mój... Co to za podły zapach? Cuchnie bardziej niż Padlina! Albo... hm!

Uczony Sas odwrócił się i zobaczył, że o drzewo, pod którym siedział, °Party był Murzyn.

— - Uciekaj, ty paskudo! - krzyknął. - Jak możesz opierać się o moje rzewo! Czy śmiesz przypuszczać, że pożyczylem nos w wypożyczalni "lasek? Uciekaj, człowieku, do Afryki! Nasze organy powonienia są zbyt czułe dla ciebie. Goździki, rezeda, niezapominajki - owszem, to sobie chwałę. Ale skunksa nie zalecałbym nawet najszlachetniejszej damie.

- Pan Bob pachnieć bardzo, bardzo dobrze! - bronił się Murzyn.

- Pan Bob nie cuchnąć. Pan Bob myć się w wodzie sadzą i sadłem niedźwiedzim. Pan Bob być delikatnym, dobrze urodzonym dżentelmenem!

- Co, twierdzisz, że jesteś dobrze i wonnie urodzony?! - Hobbie-Frank chwycił strzelbę i wycelował w Murzyna grożąc: - Jeśli natychmiast nie znikniesz, to cię pięciokrotnie postrzelę dwiema kulami!

- Boże, Boże! Nie strzelać, nie strzelać! - krzyczał Murzyn. - Pan Bob szybko odejść. Pan Bob usiąść daleko!

Uciekł czym prędzej i usiadł z daleka, markotny i gniewnie nadąsany.

A Jemmy czekał dalej na odpowiedź. Mały Sas wrócił i siadł bez słowa.

Wreszcie Old Shatterhand odpowiedział:

- Sądę, że moglibyśmy pożyteczniejszym zużyć nasz czas. Nie spaliśmy poprzedniej nocy. Połóżcie się i spróbujcie uciąć sobie drzemkę. Ja będę czuwał.

- Pan? Dlaczego akurat pan? Przecież nie więcej niż my spoczywał pan w objęciach Orfeusza.

- Mówi się „Morfusza” - poprawił Jemmy.

- Znowu zaczyna pan swoje! Dlaczego nikt inny mnie nie poprawia, tylko zawsze pan! Czego się pan wysuwa ze swoim Morfeuszem! Wiem dokładnie jak to się nazywa. Byłem członkiem bractwa śpiewaczego o nazwie „Orfeusz”. Gdy bractwo zaczynało się drzeć, można było się dobrze przespać. Takie bractwo śpiewaków jest cudownym środkiem na sen i dlatego nazywa się Orfeusz.

- Dobrze, skończmy z tym! - rzekł ze śmiechem Gruby, wyciągając się na mchu. - Wolę spać niż gryźć z panem takie uczone orzechy.

- Do tego brak panu włosów na zębach. Kto się nie uczył, ten nie może wiedzieć o niczym. A więc niech pan sobie śpi! Historia powszechna nic na tym nie traci.

Ponieważ nie znalazł nikogo, komu mógłby dalej udowodniać zalety swojego ducha, więc w końcu położył się i usiłował zasnąć.

Również Szoszoni poszli za radą Old Shatterhanda i ułożyli się do snu.

Cisza ogarnęła obozowisko.

Old Shatterhand zszedł na dół i zajrzał do kanionu. Uśmiechnął się z zadowoleniem, gdyż nie było śladu po Mężnym Bawole i jego ludziach.

Wódz Szoszonów starannie zastosował się do poleceń Old Shatterhanda.

Westman wrócił i usiadł na kamieniu u wylotu wąwozu. Siedział tak nieruchomo przez parę godzin z opuszczoną na piersi głową. O czym myślał znakomity myśliwy? Być może przemknęły przed jego oczami dni ruchliwego życia jak barwna, ciekawa panorama.

Wreszcie tętent konia zakłócił ciszę. Old Shatterhand zerwał się i podkradł do krawędzi skały. Nadjeżdżał Marcin Baumann.

- Czy Winnetou również tu jedzie? - zapytał Shatterhand chłopca - Nie Oihka-petay zatrzymał go okrzykiem. Winnetou został tam zgodnie z pańskim życzeniem. Ja także mam do nich wrócić.

- Doskonale. Apacz darzy cię szczególnymi względami, mój młody przyjacielu. Widział pan Upsaroków? Ilu ich jest?

- Szesnastu, koni zaś o dwa więcej. Zapewne należą do zastrzelonych młodzieńców. Oddział wyprzedza dwóch czerwonoskórych - to wywiadowcy. Widać, że dążą naszym śladem.

- Dobrze. Wkrótce poznają tych, którzy te ślady zostawili.

- Ukryliśmy się za drzewami i pozwoliliśmy Wronom podjechać. Potem pomknęliśmy galopem, aby mieć ich na oku. Zauważyłem, że mają w swoim gronie szczególnie ogromnego wojownika. Jest to zapewne przywódca, gdyż jechał na czele.

- Czy przyjrze się uzbrojeniu?

- Mają broń wszelkiego rodzaju.

- Dobrze! Teraz wyślę pana z poselstwem do Winnetou. W kanionie mogą się przecież zmieścić tylko trzy wierzchowce, proszę zatem Apacza, aby nie posługiwał się końmi. Gdy wrogowie zamkną się w wąwozie, podążycie za nimi pieszo.

- Ale czy w takim razie nie będą mieli nad nami przewagi? Mogą nas łatwo stratować.

- Nie. Podczas gdy Upsarokowie mogą postawić w rzędzie tylko trzech jeźdźców, my możemy wystawić pięciu ludzi. Powitamy ich w sposób następujący: pięciu pieszych usiądzie, drugi rząd uklęknie za nimi. Za nim stanie trzeci w pochylonej postawie i wreszcie czwarty w wyprostowanej. Dzięki temu dwudziestu ludzi może celować nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Jeśli Upsarokowie nie zechcą się poddać, przebijemy ich z przodu i z tyłu czterdziestoma kulami, oczywiście nie na raz. Każdy rząd musi strzelać osobno, jeden po drugim, gdyż każda salwa może trafić tylko trzech wrogów. Należy się także przygotować do zastrzelenia rumaków bez jeźdźców, gdyż mogą nam złamać szyki. Powiedz to Apaczowi. Dodaj, że ja sam pragnę układać się z wrogami. Jak sądzi Winnetou, kiedy Wrony przyjadą tutaj?

- Przypuszcza, że godzinę spędzą przy grobowcach.

- Słusznie.

- A od grobowców do wąwozu są dwie godziny drogi. Ponieważ tę drogę przebyliśmy w półtorej godziny, należy sądzić, że za godzinę Jeszcze ich nie będzie.

- Słusznie. Ale musimy być w pogotowiu. Niech pan wraca do Winnetou!

Marcin zawrócił rumaka i pojechał. Old Shatterhand natomiast powrócił do towarzyszy i zaczął ich budzić. Zakomunikował swój plan i do pierwszego rzędu wyznaczył Długiego Davy'ego, Grubego Jemmy'ego, Franka, Wohkadeha i jednego z Szoszonów. Wyznaczył również stanowiska pozostałym i zszedł na dół, aby przerobić z nimi odpowiednie ćwiczenie. Chodziło o to, żeby dokonać napadu błyskawicznie i zgranym zespołem. Sam Shatterhand zamierzał stanąć przed pierwszym szeregiem, aby układać się z wrogami. W tym celu zerwał też kilka długich zielonych gałązek, co na całym świecie, nawet u najbliższych plemion, jest uznawane za znak parlamentariuszy.

Po kilku powtórzeniach towarzysze zgrali się wyśmienicie. Old Shatterhand, przekonany, że oddział podoła zadaniu, schronił się z nim do kryjówki. Czas oczekiwania dłużył się jeszcze bardziej niż poprzednio. Jednak w końcu usłyszeli tętent koni.

- Zdaje się, że pchnięto tylko jednego wywiadowcę na zbadanie wąwozu - rzekł Jemmy.

- To byłoby nam na rękę - odparł Shatterhand. - Gdyby nadjechało dwóch, tylko jeden powinien wrócić do swoich, drugi natomiast pozostałby na miejscu. Musielibyśmy go niepostrzeżenie unieszkodliwić.

Jemmy miał słuszość. Tylko jeden jeździec wyjechał z kanionu i zatrzymał się, aby dokładnie zbadać okolicę. Nie dojrzał wroga, natomiast wyraźnie widział ślad starannie wydeptany przez Old Shatterhanda i jego towarzyszy. Nie poprzestał na tym, pojechał dalej, na znaczną dosyc odległość.

- Do pioruna!... - zaklął Jemmy. - Nie dojedzie chyba do miejsca, gdzie zawróciliśmy. Może odkryć naszą obecność.

- W tym wypadku nie wróci do swoich - oznajmił Old Shatterhand.

- Jak uniknie pan szmeru?

- Dzięki tej oto broni - odparł Shatterhand wskazując na lasso.

- Pętla musiałaby trafić dokładnie na szyję i ścisnąć ją, aby nie mógł krzyknąć. Zadanie piekielnie trudne. Czy zdoła pan tego dokonać, sir?

- Niech pan się nie martwi. Proszę wyciągnąć dziesięć palców i powiedzieć, który mam schwytać lassem, a przekona się pan, że zrobię to. Stąd, z góry, nie widać, jak daleko pojedzie. Muszę zejść na dół.

Zachowujcie się cicho, ale gdy usłyszycie lekkie gwizdnięcie, pośpieszcie za mną.

Zszedł na dół trzymając lasso w pogotowiu. Na dole, ku swej radości zobaczył, że Upsaroka zawrócił. Shatterhand ledwie zdążył się ukryć za wielkim głazem. Jeździec pomknął galopem i znikł za krawędzią wąskiego kanionu.

Old Shatterhand gwizdnął i towarzysze zeszli ze skały. Przynieśli jego dwie strzelby oraz zielone gałazki, które zostawił na górze. Podeszedł do krawędzi i wyrżał ostrożnie. Wywiadowca dotarł do końca wąwozu i znikł. Po minucie cały oddział Upsaroków wjechał do wąwozu. Old Shatterhand wkroczył również, wyciągnął rewolwer i dał umówiony znak. Dźwięk odbił się od pobliskich stromych skał i z dziesięciokrotną siłą rozległ się w uszach Apacza i jego towarzyszy. Wpadli do wąwozu za wojownikami Upsaroków, którzy ich nie zauważyli, chociaż w momencie kiedy usłyszeli strzał, ściągnęli cugle. Ujrzeni Old Shatterhanda i jego ludzi ustawionych w szyku bojowym.

Przywódca Indian był rzeczywiście, jak zaznaczył Marcin Baumann, herkulesowej postaci. Siedział na koniu niby bóg wojny. Wzdłuż szwów skórzanych spodni wisały gęste frędzle z włosów pokonanych wrogów.

Skórzane sztylpy sięgające od siodła niemal do strzemion, były ozdobione pasmami ludzkiej skóry. Na myśliwskiej koszuli z jeleniej skóry nosił rodzaj pancerza z nakładanych na siebie skrawków skalpów w kształcie łusek. Za pasem, poza innymi rzeczami, tkwił wielki nóż myśliwski oraz olbrzymi tomahawk, który mogła utrzymać tylko dłoń tak atletycznie zbudowanego człowieka. Głowę okrywała skóra kaguara, z której zwisała sierść skręcona w długie, grube powrozy. Twarz Indianina była pomalowana na czarno, czerwono i żółto. W prawej ręce trzymał ciężką strzelbę, którą na pewno zgładził już niejednego wroga.

Indianin zorientował się bardzo szybko, że skierowane w niego lufy mają przewagę nad strzelbami jego wojowników.

- Cofnąć się!—zawołał głosem, który huknął w kanionie jak wybuch granatu.

Gwałtownie zawrócił rumaka. To samo uczynili jego wojownicy. Ale teraz ujrzeli przed sobą oddział Winnetou z najeżonymi łufami.

- Wakon szitsza! - Złe leki! - zawołał przerażony.

- Zawróćcie! Tam stoi człowiek, który trzyma w ręku znak mówcy.

Niech nasze uszy usłyszą, co pragnie powiedzieć.

Zawrócił ponownie konia i zwrócił się powoli do Old Shatterhanda. To samo zrobił jego oddział. Przezorny Apacz skorzystał z tego, pośpieszył za Wronami i zamknął ich w jeszcze ciasniejszym kole.

Old Shatterhand stał nieruchomo. Upsaroka obrzucił go nieustraszonym spojrzeniem i zapytał:

- Czego chce błada twarz? Dlaczego staje mi na drodze?

Old Shatterhand wytrzymał spojrzenie Indianina i odparł:

—x Czego chce tutaj czerwonoskóry? Czemu ściga mnie i moich wojowników?

- Ponieważ zabiliście dwóch moich braci.

- Przyszli do nas jako wrogowie, a wrogów zazwyczaj się unieszkodliwia.

- Skąd wiesz, że jesteśmy wrogami?

- Bo zgubiliście swoje leki.

Indianin spuścił oczy.

—Kto ci o tym powiedział? - zapytał.

—Wiem, ponieważ obaj wojownicy, których zastrzeliliśmy, nie mieli przy sobie leków.

—Słusznie odgadłeś! Nie jestem już tym, kim byłem. Wraz z lekiem straciłem swoje imię. Teraz nazywam się Oiht-e-keh-fa-wakon*. Przepuście nas, bo was zabijemy!

- Poddajcie się, bo zginiecie! Spójrz przed siebie i do tyłu. Na moje skinienie więcej niż pięć razy po dziesięć kul ugodzi w twój oddział.

- Wiele cuchnących kojotów zabija najsilniejszego bawołu. Cóż stanowiłyby twoje psy wobec moich wojowników, gdybyście nas nie otoczyli? Ja sam rozgromiłbym połowę waszego wojska.

Mówiąc to wyciągnął swój ciężki tomahawk i zakołysał nim.

- A ja sam wysłałbym cały twój oddział do Wiecznych Ostępów - rzekł spokojnie Old Shatterhand.

- Czy twoje imię nie jest Ithanka, Samochwał?

- Nie walczę imieniem, lecz ręką.

Oczy Upsaroka rozbłyły.

- Czy chciałbyś to udowodnić?

- Nie boję się ciebie. Kpię z twoich pustych przechwałek.

- A więc poczekaj aż się naradzę z moimi wojownikami! Wtedy dowiesz się czy Oiht-ek-fa-wakon mówi tylko, czy też działa!

Naradził się z kilkoma wojownikami, po czym ponownie zwrócił się do Old Shatterhanda:

- Czy wiesz, co to muh-mohwa?

- Wiem.

- Dobrze! Potrzebujemy skalpów i leków. Czterech mężów będzie walczyć w muh-mohwa, ty ze mną, a jeden z twoich Indian z jednym z moich wojowników. Jeśli my zwyciężymy, zabijemy i oskalpujemy was wszystkich, a jeśli wy zwyciężycie, zabierzecie nasze skalpy i życie. Czy macie dosyć odwagi?

W tym pytaniu kryło się szyderstwo. Old Shatterhand odpowiedział z uśmiechem:

- Jestem gotów! Na dowód zgody połóż swoją rękę na mojej.

Wyciągnął rękę. Olbrzym, zaskoczony jego propozycją, ociągał się przez chwilę.

Muh-mohwa znaczy w narzeczu Utahów „ręka u drzewa”. Niektóre plemiona używają tej walki jako rodzaju sądu Bożego. Mocnymi rzemieniami przywiązuje się obu wojowników jedną ręką do drzewa, a w wolne ręce daje umówioną broń - tomahawk lub nóż. Rzemienie są tak przymocowane, że pozwalają walczącym obracać się wokół pnia. Ponieważ stawia się ich twarzą w twarz, jednemu wiąże się lewą a drugiemu prawą rękę. A zatem ten, który wolną ma prawą rękę, uzyskuje nad przeciwnikiem znaczną przewagę. W zasadzie ta naprawdę straszliwa walka kończy się ze śmiercią jednego z przeciwników.

Bezimienny opanował się i podał białemu rękę mówiąc:

- Zgadzam się! Przysięgamy sobie nawzajem: strona zwyciężona powinna bez wahania poddać się śmierci. Jeśli zaś z każdej strony zwycięży jeden, wtedy rozstrzygnie walka zwycięzców.

Old Shatterhand przejrzał jego zamiary: sądząc z wielkości, wódz zwyciężyłby nie tylko swego bezpośredniego przeciwnika, ale także i następnego. Mimo to rzekł:

- Zgoda! Abyś nie miał wątpliwości, wypalimy fajkę przysięgi.

Mówiąc to wskazał na fajkę pokoju, która wisiła na jego szyi.

- T—Tak, wypalimy ją! - powiedział olbrzym uśmiechając się szyderczo.

Lecz ta fajka przysięgi nie będzie fajką pokoju, ponieważ będziemy walczyć, po walce zaś wasze skalpy przyozdobią nasze oszczepy; a wasze ciała rzucimy sępom.

- Przedtem przekonamy się, czy twoje pięści są równie silne i odważne jak twoje słowa - wtrącił Old Shatterhand.

- Oih-t-e-keh-fa-wakon jeszcze nigdy nie został pokonany! - odparł dumnie Upsaroka.

- A jednak pozwolił sobie zabrać leki. Jeśli jego oczy nie będą dzisiaj bystrzejsze, to mój skalp z pewnością pozostanie na mojej głowie.

Było to ostre upomnienie. Czerwonoskóry chwycił za broń, ale Old Shatterhand potrząsnął głową i ostrzegł go:

- Zostaw broń w spokoju! Wkrótce będziesz mógł okazać swoją odwagę. Teraz opuścimy to miejsce, aby wyszukać inne, bardziej odpowiednie do muh-mohwa. Moi bracia przyprowadzą swoje konie.

Upsarokowie zaś jako jeńcy pojedą między nimi.

Skinął na Winnetou, który po chwili udał się ze swoim oddziałem po konie. Po ich powrocie sprowadził konie drugi oddział. W ten sposób Upsarokowie byli stale pod nadzorem i nie mieli sposobności do ucieczki.

Niebawem wyruszono.

Old Shatterhand zakazał swoim wymieniać imienia jego lub Winnetou. Upsarokowie nie powinni dowiedzieć się zbyt wcześnie, z kim mają walczyć. Dopóki byli pewni zwycięstwa, nie zamierzali dopuścić do wykroczeń.

Gruby Jemmy jechał obok Old Shatterhanda. Wcale nie zgadzał się z jego postępowaniem.

- Niech mi pan nie bierze za złe, że mam pewne zastrzeżenia - rzekł wreszcie. - Postąpił pan wobec tych drabów jak przyzwoity człowiek, ale taka przyzwoitość nie jest tutaj na właściwym miejscu.

- Dlaczego? Czy sądzi pan, że Indianin nie pozna się na szlachetnym Postępowaniu? Znałem wielu czerwonoskórych, którzy mogliby być wzorem dla białych.

- Być może. Ale nie należy ufać zbyt tym Upsarokom. Pragną za wszelką cenę zdobyć nowe leki - nie cofną się przed niczym. Mieliśmy ich już tak doskonale w rękach. Nie mogli się ani cofnąć, ani iść naprzód.

Łatwo było ich zgasić jak się gasi kilka nędznych szczap. Teraz natomiast jest pan zmuszony do piekielnej muh-mohwa, a kto pana zapewni, że ten olbrzym nie powali pana i nie zakłuje?!

- Ech! Dotychczas nigdy nie łaknął pan krwi. Hańbą byłoby zastrzelić ich, jeśli mieliśmy nad nimi taką przewagę i gdy zwabiliśmy ich w pułapkę, w której nie mogli się ani bronić, ani nawet ruszać. Nie wspominam już o tym, że jesteśmy chrześcijanami, a nie poganami.

- Hm, co tu wiele mówić, ma pan słuszość jako chrześcijanin i jako człowiek w ogóle. Ale czy musielibyśmy ich od razu zabić? Byli zmuszeni się poddać, mogliśmy więc uniknąć rozlewu krwi.

- Nie poddali by się właśnie dlatego, że szukają nowych leków. Nie uniknęlibyśmy walki. A ponieważ ani mi się śniło zabijać ludzi mających takie samo prawo do życia jak ja, więc wolałem zgodzić się na propozycję olbrzyma, którego zresztą znam.

- Jak to? Zna pan tego kolosa?

- Tak. Może przypomina pan sobie moje słowa, kiedy mijaliśmy Górę Żółwia? Powiedziałem wtedy, że przed laty obozowałem tam wraz z wojownikiem Upsaroków, Szunka-Szetsza. Naopowiadał mi wtedy wiele o swoich współplemieńcach. Z wielką dumą wspominał o swoim znakomitym bracie, Kanteh-Pehta, Ogniste Serce.

- Czy miał na myśli wielkiego, znakomitego męża leków Upsaroków?

- Właśnie tego. Opowiedział mi o czynach brata i opisał jego wygląd, zwracając uwagę na ogromny wzrost i atletyczną budowę olbrzyma oraz brak lewego ucha. W pierwszej zbrojnej rozprawie z Siuksami Ogallalla cios tomahawka ugodził go w ucho i ramię. Niech pan obejrzy dokładnie tego gigantycznego Upsaroka. Brak mu lewego ucha, a pozycja, w jakiej trzyma lewe ramię wskazuje, że zostało ono kiedyś zranione.

- Do licha! To byłoby osobliwe spotkanie. Ale w takim razie boję się o pana, sir! Jest pan wprawdzie najdzielniejszym mężczyzną jakiego tylko można sobie wyobrazić, ale Kanteh-Pehta był dotychczas niewyciężony. Siły fizycznej ma na pewno więcej niż pan, chociaż przypuszczam, że jest pan zręczniejszy od niego. Jednak kiedy jest się przywiązany jedną ręką do drzewa, nie zręczność decyduje, tylko siła.

- No - uśmiechnął się Old Shatterhand. - Jeśli pan się tak o mnie lęka, istnieje niezawodny środek, aby ocalić mnie od śmierci.

- Jakiż to środek?

- Pan podejmie zamiast mnie walkę z Upsarokiem.

- Och! Ani myślę! Nie mam zbyt przeczulonych nerwów, ale nie lubię się rzucać dobrowolnie w objęcia Śmierci. Poza tym to pan nawarzył tego piwa, więc niech pan je sam wypije! Życzę panu z całego serca zdrowego napoju.

Zwolnił biegu konia, aby uniknąć ponownej propozycji tego rodzaju.

Na jego miejsce zbliżył się do Old Shatterhanda Winnetou.

- Mój biały brat poznał Kanteh-Pehta, męża leków Upsaroków?

- zapytał Apacz.

- Tak - odparł zapytany - Oczy mego czerwonego brata były równie bystre jak moje.

- Upsaroka ma tylko jedno ucho. Winnetou jeszcze nigdy nie widział jego twarzy, lecz Odważny Poszukiwacz Leku nie oszuka Winnetou.

Słyszałem, o czym mój brat z nim rozmawiał i jestem gotów do walki.

- Liczyłem bezwzględnie na pomoc wodza Apaczów, gdyż nikomu innemu nie zaufałbym w takiej rozprawie.

W odległości mili angielskiej od kanionu, dolina znacznie się rozszerzała. Jeźdźcy dotarli do małej, zamkniętej górą prerii, jakich wiele jest w tamtych stronach. Rosły tu odosobnione krzewy i rzadka trawa. Widać było tylko jedno drzewo, dosyć wysoką lipę o wielkich, owłosionych białymi włosami liściach, które Indianie w narzeczu sonoryjskim nazywają muh-manga-tusahga, tzn. drzewo o białych liściach.

- Mawa! - Tam! - rzekł wódz Wron wskazując na drzewo.

- Howgh! - skinął Winnetou skierowując rumaka do lipy. Oddział dojechał do miejsca, gdzie miała się odbyć rozprawa. Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł i puścili konie wolno. Wszyscy siedli na trawie. Trudno było uwierzyć, że za chwilę ma się rozegrać walka na śmierć i życie. Dwa wrogie szczepy zgodnie przebywały w jednym kręgu. Upsarokom bowiem zostawiono broń.

Westman dobył nieco tytoniu z torebki, zdjął fajkę z szyi i napełnił ją.

Potem stanął w środku koła i oznajmił:

- Wojownik nie mówi wiele, lecz wypowiada się czynami. Nie zabiliśmy wojowników Upsaroka, chociaż byli w naszych rękach.

Zażądali od nas muh-mohwa - zgodziliśmy się na to. Spodziewamy się, że nie użyjecie podstępów i zdrady, tak jak i my jej nie użyliśmy.

Przyrzekniecie to nam wypalając z nami fajkę przysięgi. Howgh!

Usiadł. Odważny Poszukiwacz Leku podniósł się i rzekł:

- Biały mąż wypowiedział nasze myśli. Nie zamyślamy podstępów, ponieważ i tak zwyciężymy. Lecz zapomniał ustalić warunki walki.

Każdy zapaśnik - dodał po krótkiej przerwie - zostanie jedną ręką przywiązany do drzewa. Do drugiej zaś ręki dostanie nóż. Kto upadnie, ten jest zwyciężony - żywy czy martwy. Kto tylko padnie na kolana, ten może się podnieść. Będą walczyć czterej mężowie z obnażonymi piersiami, ja z tym białym, a jeden z moich wojowników z jednym z waszych czerwonoskórych. Jeśli zwyciężą mężowie z różnych obozów, wtedy obaj będą walczyć ze sobą. Własność i życie zwyciężonego obozu należą do zwycięskiego. Nikomu nie wolno się bronić. Upsarokowie są gotowi wypalić fajkę przysięgi jedynie pod tymi warunkami. Howgh!

Usiadł. Old Shatterhand ponownie wyszedł do środka i oświadczył:

- Przystajemy na wszystkie warunki Upsaroków. Zapalę teraz fajkę pokoju. Będzie dzisiaj duszą fajki przysięgi i na jej dymie wzniosą się dusze zwyciężonych ku Wiecznym Ostępom, aby później służyć jako niewolnicy zwycięzcom.

- Tak, tak! - rozległo się w kole.

Old Shatterhand wyciągnął swoją hubkę i zapalił fajkę. Następnie puścił dym ku niebu, ku ziemi i na cztery strony świata, po czym oddał kalumet przywódcy Upsaroków, który pociągnął z niego sześć razy i oświadczył, że układ jest zaprzysiężony i przypieczętowany. Następnie fajka

zaczęła przechodzić od jednego do drugiego i wreszcie wsadzono ją ustnikiem w ziemię, a dokoła złożono broń. Na straży postawiono jednego Szoszona i jednego Upsaroka.

Teraz Bezimienny, pewny zwycięstwa, podszedł do drzewa, zrzucił z siebie odzież i rzekł:

- Możemy zaczynać! Zanim słońce posunie się o szerokość noża, skalp tego białego psa zawiśnie u mojego pasa.

Dopiero teraz można było dokładnie zobaczyć, jak wspaniale zbudowany jest ten Indianin. Wszystkie mięśnie grały mu pod skórą.

Skinął na jednego ze swoich wojowników, który zaraz wystąpił, obnażył klatkę piersiową i rzekł:

- Tu oto stoi Makin-oh-punkreh - Stokrotny Grzmot. Sporządził swoją tarczę ze skór wrogów i posiadał przeszło czterdzieści skali. Kto się ośmieli podejść pod jego nóż?

- Ja, Wohkadeh, nakazę milczeć Stokrotnemu Grzmotowi. Nie mogę się jeszcze poszczycić żadnym skalpem, ale zabiłem białego bawołu i dziś ozdobię swój pas pierwszym włosiem skalpowym. Kto się lęka Grzmotu?

Jest to tchórzliwy służka błyskawicy i podnosi głos wtedy, gdy niebezpieczeństwo już minęło.

- Uff, uff - zawołano dokoła, kiedy wystąpił młodzieniec i wygłosił swoje przemówienie.

- Wróć! - szedł Stokrotny Grzmot. - Nie walcz z dziećmi.

Tchnienie moich ust cię zabije. Połóż się na trawie i marz o swojej matce, która jeszcze powinna cię karmić kammą.

Powszechnie pogardzani Indianie Grobowi na pustkowiach, gdzie wiodą godny politywania żywot, szukają na pół zgniłych cebulkowatych korzeni i przyrządzają z nich wstrętne ciasto zwane „kammą”, którym gardzą nawet psy indiańskie.

Zanim Wohkadeh zdążył odpowiedzieć na szyderstwo, wystąpił Win^ netou. Skinieniem głowy kazał się cofnąć młodemu Indianinowi, co też Wohkadeh natychmiast uczynił, i rzekł:

- Na zgiełk Makin-oh-punkreh zgłosił się młodzieniec, który łatwo poskromiłby gębacz, ale jeszcze poprzednio postanowiono, abym ja stłumił burczenie grzmotu.

Stokrotny Grzmot odezwał się gniewnie:

- Kim jesteś, że mówisz takie słowa? Czy posiadasz imię? Na twojej szacie nie widzę ani jednego włosa. Jeśli uczono cię grać na dzotunka*, to idź precz i zagraj sobie, ale nie tobie trzymać nóż w ręce! Sam siebie poranisz!

- Swoje imię wymienię twojej duszy, kiedy uleci z ciała. Wtedy będzie lamentować z przerażenia i nie odważy się wejść do Wiecznych Ostępów. Zamieszka w przepaściach, aby z trwogi wyc z wiatrami i żalić się z wichrem.

- Psie! - huknął Grzmot. - Śmiesz uragać duszy odważnego wojownika?! Natychmiast poniesiesz karę. Będziemy walczyć jako pierwsza para i twój skalp zawisnie przy moich trofeach. Ciebie rzucę szczyrom na pożarcie, a twoje imię, którego nie chcesz wymienić, nie dotrze do uszu żadnego wojownika!

- Tak, my pierwsi staniemy do walki. Można zaczynać! - odparł chłodno Winnetou.

Obaj rozebrali się i wzięli noże. Utworzono rozległe koło pod lipą. Oczy wszystkich badały z uwagą ciała zawodników. Stokrotny Grzmot nie był wyższy od Winnetou, ale o wiele szerszy i mocniej zbudowany, co Upsarokowie z zadowoleniem stwierdzili. Nie podejrzewali przecież, że mają przed sobą słynnego wodza Apaczów.

Po chwili podszedł Gruby Jemmy. W ręce trzymał kilka rzemieni i rzekł do Winnetou:

- A zatem pan ma pierwszy występ, mój drogi. Będzie to dobrym znakiem, jeśli przyjaciel przywiąże pana do drzewa. Najpierw jednak niech wszyscy się przekonają, że oba rzemienie są jednakowej wytrzymałości.

Rzemienie szły z rąk do rąk. Zbadano je dokładnie. Teraz trzeba było postanowić, który będzie przywiązany prawą, a który lewą ręką. Losy stanowią dwa różnej długości źdźbła trawy. Winnetou wyciągnął krótszą trawkę, był więc w gorszym położeniu niż przeciwnik, gdyż wolną miał lewą dłoń, a więc mniej wyćwiczoną. Upsarokowie powitali tę sprzyjającą im okoliczność wesółymi „Uh, ah! - Bardzo dobrze, bardzo dobrze!”

Zaciągnięto pętle z rzemieni na ręce walczących i przywiązano ich dosyć luźno do drzewa, aby mogli się obracać dokoła pnia. Zdarza się czasami w muh-mohwie, że walczący ścigają się dokoła drzewa przez całe kwadransy zanim następuje pierwszy cios. Ale gdy raz poleje się krew, nacierają na siebie z taką gorączkową wściekłością, że walka szybko dobiega końca.

Stali teraz gotowi do walki, jeden z tej, drugi z przeciwnej strony drzewa.

Kulawy Frank przystanął jako widz obok Grubego Jemmy'ego.

- Niech pan posłucha, panie Pfefferkorn - rzekł - to taka rozprawa, że aż ciarki przechodzą po ciele! Nie tylko oni dwaj ryzykują głowami, ale chodzi także o naszą skórę. W tej chwili mam pod swoim skalpem uczucie, jak gdyby ciągnięto mi włosy w górę. Właściwie bardzo pięknie dziękuję za przyrzeczenie, że cierpliwie pójdziemy pod nóż, jeśli nasi mistrzowie będą pokonani.

- No tak! - odparł Jemmy. - Mnie także nie jest wesoło na duszy, ale sądzę, że możemy polegać na Shatterhandzie i Winnetou.

- Zdaje się, gdyż Apacz ma tak spokojną twarz, jak gdyby trzymane w ręce narzędzie walki było kwiatkiem. Cicho! Stokrotny Grzmot zaczyna mówić.

Upsaroka dostał właśnie nóż do ręki.

- Szihseh! - Chodź tu! - zawołał do Winnetou. - A może mam cię ścigać dokoła drzewa aż padniesz trupem ze strachu, nietknięty nawet moim nożem?

Winnetou nie odpowiedział. Zwrócił się do Old Shatterhanda i rzekł w języku Apaczów, którego przeciwnicy nie rozumieli:

- Szi din Ida sesteh! - Sparaliżuję mu rękę!

Old Shatterhand oznajmił głośno wskazując na Winnetou:

- Nasz wielki brat zamknął swoje serce przed myślą o zabójstwie.

Pokona swego wroga nie pozbawiając go ani kropli krwi.

- Uff, uff, uff! - krzyknęli Upsarokowie.

Jednak Stokrotny Grzmot zaczął urągać:

- Ten wasz brat oszalał z trwogi. Skróćmy mu cierpienia!

Wysunął się o krok, tak, że drzewo przestało ich dzielić. Trzymając mocno nóż w ręce drapieżnym okiem zmierzył swego przeciwnika. Lecz twarz Apacza pozostała nieruchoma, a postawa jakby skamieniała.

Upsaroka złapał się na haczyk. Znienacka skoczył ku Apaczowi i podniósł rękę do śmiertelnego ciosu. Ale zamiast się cofnąć Apacz dopadł go błyskawicznie. Gwałtownym ciosem podbił pięść wroga, w której trzymał nóż. Ten odważny, silny i udany chwyt miał taki skutek, że Upsaroka cofnął się i wypuścił z ręki nóż. Jeszcze jeden chwyt Apacza, który odrzucił swój własny nóż, krzyk czerwonoskórego — i Winnetou, zwichnąwszy mu rękę, wymierzył silne uderzenie w głowę.

Upsaroka przewrócił się na plecy wisząc u drzewa za jedną, przywiązaną rękę.

Leżał przez chwilę nieruchomo i to wystarczyło Winnetou. Podniósł swój nóż, oderwał się od drzewa i ukląkł przy przeciwniku. Było to dziełem chwili.

- Czy jesteś pokonany? - zapytał.

Zapaśnik nie odpowiedział. Dyszał ciężko, sapał zarówno pod wpływem ciosu, jak wściekłości i strachu.

Scena rozegrała się z tak błyskawiczną szybkością, że trudno było dostrzec kolejność ruchów Apacza. Zapanowała głęboka cisza. Kiedy mały Sas zamierzał ją przerwać radosnym „hurra!”, Old Shatterhand nakazał milczenie tak władczym ruchem, że pocziwiec urwał na pierwszej sylabie.

- Dobij! - zgrzytnął Upsaroka i obrzucił twarz Apacza nienawistnym spojrzeniem i przymknął powieki.

Lecz Winnetou podniósł się, przeciął rzemienie zwycięzonego i rzekł.

- Podnieś się! Przymknęłam ci oczy i dotrzymam słowa.

- Wolę nie żyć. Jestem pokonany...

Oiht-e-keh-fe-wakon podszedł do niego i rozkazał gniewnie:

- Podnieś się! Daruję ci życie, ponieważ twój skalp nie ma żadnej wartości dla zwycięzcy. Zachowałeś się jak chłopak. Ale jeszcze ja tu stoję, aby za nas walczyć. Zwycięzę po dwakroć i

podczas gdy my będziemy się dzielili skalpami wrogów, ty odejdziesz do wilków prerii, aby żyć pomiędzy nimi. Zabraniam ci powrotu do wigwamu!

Stokrotny Grzmot podniósł się i chwycił za nóż.

- Wielki Duch nie życzył sobie mojego zwycięstwa - rzekł. - Nie pójdę do wilków. Tu oto trzymam swój nóż, aby skończyć z życiem, którego nie chcę przyjąć w darze. Lecz przedtem pragnę się przekonać, czy lepiej ode mnie potrafisz zwyciężyć. Howgh.

Oddalił się i usiadł na trawie. Widać było, że naprawdę nie chciał przeżyć swojej hańby.

Nie padło na niego ani jedno spojrzenie jego braci. Z tym większą nadzieją spoglądali na swego wodza, który swoją potężną postacią wsparł się o drzewo. Zawołał do Old Shatterhanda:

- Podejdź tu! Będziemy losować.

- Nie losuję - odparł Old Shatterhand. - Niech mnie przywiążą prawą ręką. - O, chcesz prędeż umrzeć!

- Wcale nie. Wiem, że twoja lewa ręka jest słabsza niż prawa. Nie chcę mieć nad tobą przewagi. Przecież cię kiedyś zraniono.

Mówiąc to wskazał na szeroką bliznę na lewym ramieniu przeciwnika.

Indianin nie mógł pojąć tej wspaniałomyślności. Zmierzył westmana wzrokiem pełnym zdumienia i odparł:

- Chcesz mnie obrazić? Czy twój, gdy cię zabiję, mają powiedzieć, że zawdzięczam zwycięstwo twojej łasce? Żądam losowania!

- Dobrze. Jestem gotów.

Los wypadł na korzyść wodza, którego przywiązano do drzewa lewą ręką. Po kilku chwilach stali obaj naprzeciw siebie. Spoglądając na mięśnie olbrzyma, które przeżyły się potężnie, można było się lękać o los Shatterhanda. Znakomity westman jednak okazywał taką samą obojętność co poprzednio Winnetou.

- Możesz rozpocząć! - rzekł Upsaroka. - Udzielam ci pierwszego ciosu. Trzy uderzenia będę jedynie odbijał, ale po następnym runiesz bez życia.

Old Shatterhand roześmiał się tylko. Wbił nóż w pień lipy i odpowiedział:

- A ja zrzekam się broni. Mimo to padniesz przy pierwszym natarciu. Nie mamy czasu na dłuższe zabawę. Uważaj więc, bo zaczynam!

Podniósł rękę do uderzenia i skoczył w kierunku przeciwnika. Wódz dał się zwieść i natarł na Shatterhanda. Ale biały błyskawicznie się cofnął, tak, że cios przeciwnika chybił. Jeszcze jeden błyskawiczny ruch Shatterhanda - i pięść ugodziła Indianina w skroń. Olbrzym zachwiał się i zwałił na ziemię.

- Oto leży jak długi! Kto zwyciężył? - zawołał Old Shatterhand.

O ile poprzednio, kiedy Stokrotny Grzmot runął, Upsarokowie zachowywali się spokojnie, tak teraz wybuchnęli rykiem, który brzmiał jak zwierzęce wycie. Przeciwnicy natomiast zaczęli głośno wiwatować.

Old Shatterhand wyjął nóż z pnia i przeciął rzemienie. Biali myśliwi otoczyli go kołem i wieszowali nie tylko jemu, ale i sobie. Również Szoszoni wyrazili swoje uznanie obu zwycięzcom, ale przede wszystkim co prędzej podążyli do broni, aby uniemożliwić Upsarokom opór czy ucieczkę. Wrogowie przerwali wycie, podeszli do miejsca, gdzie siedział Grzmot i usiedli przy nim. Nawet strażnik, który został na warcie przy broni, przyłączył się do nich, chociaż nietrudno było mu skoczyć na konia i uciec.

Shatterhand znowu podszedł do pokonanego wodza, który właśnie wracał do przytomności. Otworzył oczy i widział, jak zwycięzca przecina mu pęta. Dopiero po kilku chwilach zdał sobie sprawę z sytuacji, zerwał się na równe nogi i wbił w Old Shatterhanda zupełnie nieprzytomne spojrzenie. Zdawało się, że oczy wystąpią mu z orbit. Jąkając się zapytał:

- Ja... leżałem... na ziemi...? Czy... ty... mnie... pokonałeś?

- Tak. Czy to nie ty sam postawiłeś warunek, że ten, który upadnie na ziemię, będzie uchodził za pokonanego?

Upsaroka obejrzał się dokładnie.

- Nie jestem ranny! - zawołał - A więc powaliłeś mnie gołą pięścią!?

- Tak - uśmiechnął się Old Shatterhand. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

Upsaroka bezradnie spojrział na swoich wojowników. Jego twarz wyrażała rezygnację.

- Byłoby lepiej, gdybyś mnie zabił! - żalił się. - Wielki Duch opuścił nas, ponieważ skradziono nam leki. Nigdy już nie wejdziemy do Wiecznych Ostępów. Czemu ssnaw* naszych ojców nie pomarły zanim wydały nas na świat?

Niedawno jeszcze dumny i pewny zwycięstwa wojownik, teraz złamany powłókł się do swoich. Odwrócił się jeszcze raz i zapytał:

- Czy pozwolicie nam odśpiewać pieśń śmiertelną zanim nas zabijecie?

- Zanim odpowiem pragnę zadać ci pytanie. Chodź!

Old Shatterhand zaprowadził Bezimiennego do Upsaroków, wskazał na Stokrotnego Grzmota i zapytał:

- Czy jesteś jeszcze zły na swego wojownika?

- Nie. Nie mógł inaczej. Tak chciał Wielki Duch. Straciliśmy leki - Odzyskacie je albo dostaniecie jeszcze lepsze.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Gdzie je odzyskamy? - zapytał przywódca. - Tu, gdzie mamy umrzeć? Lub może w Wiecznych Ostępach? Nie dotrzemy tam, gdyż stracimy nasze skalpy.

- Zachowacie skalpy i życie. Zabilibyście nas, gdybyście zwyciężyli, ale my zgodziliśmy się na wasze warunki tylko na pozór. Jesteśmy chrześcijanami i nie zabijamy naszych bliźnich. Podnieście się! Podejdźcie, weźcie swoją broń i swoje konie. Jesteście wolni i możecie jechać dokąd chcecie.

Nikt się nie poruszył.

- Mówisz tak, aby rozpocząć tortury, którym chcesz nas poddać - rzekł Bezimienny. - Ścierpimy je mężnie nie wydając ani jednego dźwięku skargi.

- Mylisz się! Mówię poważnie. Między Szoszonami a Upsarokami topór wojenny jest zakopany, Kanteh-Pehta, znakomity mąż leków Upsaroków jest naszym przyjacielem. Może wraz ze swoimi wojownikami wrócić cało do swoich wigwamów.

- Uff! Znasz mnie?

- Brak ci ucha, a poza tym widzę na tobie bliznę. Poznałem cię po tym.

- Skąd wiedziałeś o tych znakach?

- Opowiadał mi o tobie twój brat Szunka-szetsza, Wielki Pies.

- A więc znasz go?!

- Tak. Kiedyś się z nim spotkałem.

- Kiedy? Gdzie?

- Przed wielu laty. Rozstaliśmy się przy Górze Żółwia.

Kiedy Upsaroka to usłyszał, zerwał się natychmiast. Jego wyraz twarzy zmienił się nie do poznania, oczy straciły nieruchomy, tępy wyraz i zajaśniały blaskiem.

- Czy myli się moje ucho, czy dobrze słyszę twoje słowa? - zawołał.

- Jeśli mówisz prawdę, jesteś Non-Pay-Klama, którego biali nazywają Old Shatterhandem!

- Jestem nim.

Gdy Bezimienny wymienił to imię, wszyscy Upsarokowie się podnieśli.

- Jeśli jesteś tym znakomitym myśliwym - ciągnął Bezimienny - w takim razie Wielki Duch nie opuścił nas jeszcze. Tak, musisz nim być, gdyż powaliłeś mnie samą pięścią! Ulec tobie - to nie jest hańba.

Mogę żyć, nie wytykany palcami przez squaw. Uff!

- Również Stokrotny Grzmot, dzielny wojownik, nie powinien się wstydzić, ponieważ walczył z Winnetou, wodzem Apaczów.

Oczy Upsaroka wbiły się w Winnetou, który podszedł, podał Stokrotnemu Grzmotowi rękę i rzekł:

- Mój czerwony brat wypalił ze mną fajkę przysięgi. Teraz wypali z nami kalumet pokoju, gdyż wojownicy Upsaroka są naszymi przyjaciółmi. Howgh!

Grzmot chwycił jego rękę i odparł:

- Odeszło od nas przekleństwo Złego Ducha. Old Shatterhand i Winnetou są przyjaciółmi czerwonych mężów. Nie zażądają naszych skalpów.

- Nie. Jesteście wolni! - powtórzył Old Shatterhand. - Znamy ludzi, którzy pozbawili was leków. Jeśli chcecie iść z nami, zaprowadzimy was do nich.

- Uff! Kim są złodzieje?

- Zgrają Siuksów Ogallalla, którzy jadą do gór Yellowstone.

Wiadomość ta wzburzyła Upsaroków. Przywódca zawołał ze złością:

- A więc to były psy Ogallalla! Hong-peh-te-keh, Ciężki Mokasyn, ich wódz zranił mnie i pozbawił ucha, a ja nie mogłem się mścić. Prosiłem Wielkiego Ducha, aby mnie naprowadził na jego trop, ale moje życzenie nie zostało dotąd wysłuchane. W tej chwili podszedł Wohkadeh, który stał niedaleko i słyszał wszystko.

- Jesteś na jego tropie, gdyż Hong-peh-te-keh jest przywódcą tych Ogallalla, których ścigamy.

- A więc Wielki Duch oddał go wreszcie w moje ręce! Ale kim jest ten młody czerwony wojownik, który chciał walczyć ze Stokrotnym Grzmotem i tyle wie o Siuksach Ogallalla?

- To Wohkadeh, odważny syn Dumang-kake - odparł Old Shatterhand. - Ogallalla zmusili go aby jechał z nimi. Widział, jak rabowano wasze leki. Następnie uciekł od nich i oddał nam już ważne przysługi.

- A czego szukają Ogallalla w górach Yellowstone?

- Opowiemy wam, gdy rozpalimy ognisko. Wtedy namyślicie się, czy jechać z nami.

- Jeśli ścigacie Ogallalla, pojedziemy z wami. Niech moi bracia rozpalą ognisko!

Wkrótce zapłonęło ognisko narady.

„Senat i Izba Poselska Stanów Zjednoczonych niniejszym postanawiają, że obszary na terytoriach Montana i Wyoming, leżące w pobliżu źródła Yellowstone River, zostają wyłączone spod prawa osiedlenia, objęcia w posiadanie oraz sprzedaży, zgodnie z obowiązującymi prawami Stanów Zjednoczonych i mają być oddane do użytku powszechnego jako park publiczny dla korzyści i przyjemności ludu.

Każdy, kto wykroczy przeciw tym zarządzeniom, kto obejmie w posiadanie jakąś część obszaru, będzie wydany. Park zostaje oddany pod wyłączny nadzór sekretarza spraw wewnętrznych, który jest zobowiązany do wydania wszelkich przepisów i zarządzeń, jakie uzna za konieczne.”

Tak brzmi ustawa ogłoszona na kongresie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 1 marca 1872 r. Mocą tego prawa obywatele Stanów Zjednoczonych i mieszkańcy innych krajów otrzymali podarunek, którego wielkości jeszcze wtedy nie znano.

Pierwsze ścisłe wiadomości przywiózł dopiero profesor Hayden, który zorganizował naukową wyprawę w te nieznane strony. Jednakże i on opowiadał rzeczy niezwykle, W Stanach Zjednoczonych opowiadano sobie najdziwniejsze rzeczy o tych terenach, zwanych obecnie Parkiem Narodowym Stanów Zjednoczonych. Te tereny, znane tylko Indianom i tylko w części zbadane przez odważnych samotnych traperów, były otoczone mgłą tajemniczości.

Opowieści takich traperów szły w świat z ust do ust, ozdabiane wszelkimi fantastycznymi wymysłami. Płonące prerie i góry, gotujące się źródła, wulkany wybuchające roztopionym metalem, jeziora i rzeki lawy, skamieniałe lasy ze skamieniałymi Indianami i zwierzętami - oto treść rozmaitych opowiadań.

Park Narodowy rozciąga się na przestrzeni 9500 kilometrów kwadratowych. Stamtąd wypływają rzeki Yellowstone, Madison, Gallatin i rzeka Wężowa. Wznoszą się potężne łańcuchy górskie. Czyste i krzepiące powietrze, setki zimnych i gorących źródeł o różnorodnym składzie chemicznym posiadają niezwykle właściwości lecznicze. Gejzery*, z którymi ledwo można porównać gejzery islandzkie, tryskają na wieleset stóp* w górę. Góry w wielu przypadkach składają się ze wspaniałego kwarcu we wszystkich kolorach i migotliwie lśnią w promieniach słonecznych. Między nimi znajdują się przepaście, które są jak gdyby wydrążone specjalnie po to, aby zajrzeć do wnętrza ziemi. Grunt stanowią jakby pęcherze, które się wznoszą i opadają. Czasami wydają się zaledwie grube na cal*, tak że jeździec z trudem popędza przerażonego rumaka. Otwierają się olbrzymie dziury wypełnione wrzącą lawą, która się wznosi i opada.

Nie można jechać choćby przez kwadrans, aby nie natknąć się na to czy inne dziwo natury. Należy sądzić, że znajduje się tam około dwóch tysięcy gejzerów i gorących źródeł. Zaskakuje różnorodność krajobrazów. Podczas gdy w jednym miejscu bije potok wrzącej wody, nieco dalej perli się zimne źródło i rosną wspaniałe drzewa. Wydaje się, że pod ziemią walczą dobre duchy ze złymi, aniołowie z diabłami. Podziwia się fantastyczne widoki, a kilka kroków dalej cofa się przed budzącymi grozę. Zachwyca kolosalny źródł tryskający przy ścianach kanionu na ponad sto metrów, a dalej idzie się przez pola krwawnika, agatu, chalcedonu, opalu i innych drogich kamieni.

Między górami drzemią szmaragdowe jeziora. Największym i najpiękniejszym z nich jest jezioro Yellowstone, po Titikaka najwyżej na ziemi położone jezioro, bo około 2400 m ponad poziomem morza.

Pomimo, że woda jeziora jest przesycona siarką, roi się w nim od pstrągów, których mięso posiada bardzo osobliwy, ale przyjemny smak.

Otoczające lasy obfitują w łosie i niedźwiedzie. Brzegi usiane są niezliczonym mnóstwem gorących źródeł, z których para wydziela się ze świstem podobnym do dźwięku jaki wydaje lokomotywa.

Przybysz o lekliwym usposobieniu pragnie się od razu wycofać.

Niespokojne siły podziemne występują na powierzchni. Na tym gruncie nie można się czuć pewnie. Wydaje się, że cały obszar albo za parę chwil zapadnie się w przepaść, albo jako gigantyczny, zięjący ogniem krater wyleci ponad wierzchołki Rocky Mountains. Tak mniej więcej

wygląda część Parku Narodowego Yellowstone, do którego zbliżał się Winnetou i Old Shatterhand wraz z oddziałem Szoszonów i Upsaroków.

Tam, gdzie z jeziora wypływa Yellowstone River i gdzie brzeg tej rzeki ciągnie się na południowy zachód do Bridge Creek, płonęło kilka ognisk.

Rozpalono je, nie po to aby ugotować wieczerzę, ale by oświetlić teren.

Pstrągi łokciowej długości, schwymane w zimnej wodzie, można było ugotować w wodzie gorącej, która pieniała się w odległości kilku kroków.

Sas ogromnie chełpił się tym, że po obiedzie zastrzelił dziką owcę. A więc wieczerza składała się z ugotowanego owczego mięsa i pstrągów. Gorące źródło było tak małej objętości, że doskonale nadawało się do roli garnka, a woda miała potem świetny smak rosółu.

Oddział przeprowił się przez rzekę Pelikan i Yellowstone i nazajutrz rano zamierzał udać się poprzez Bridge Creek do rzeki Kraterów. Tam tryskał gejzer zwany przez Indian K'untui-temba - Paszcza Piekła, a w pobliżu stał grobowiec wodza.

Jazda odbyła się z nieoczekiwaną szybkością. Jeźdźcy dojeżdżali do celu, a do pełni księżyca zostały jeszcze trzy dni. Old Shatterhand przypuszczał, że Siuksowie Ogalalla nie mogli jeszcze dotrzeć na miejsce. Powiedział w toku rozmowy:

- Co najwyżej mogli dojechać do Botties Rangę, a więc jesteśmy tutaj bezpieczni. Niech ognisko płonie dopóki księżyc nie wyłoni się zza gór.

Nie możemy się spodziewać innych ludzi poza Siuksami. Nie ma się czego obawiać.

- A jaka jest droga z Botties Rangę, sir? - zapytał Marcin Baumann.

- Słyszałem, że jest bardzo niebezpieczna.

- Tego nie mogę powiedzieć. Oczywiście, należy omijać gejzery, gdzie skorupa ziemska jest bardzo cienka i łatwo może się zapaść pod nogami. Jedźcie się z Botties Rangę do doliny rzecznej i wymijaj wulkany.

Po czterech czy pięciu godzinach dociera się do kanionu długiego na pół mili i głębokiego na trzysta metrów, wydrążonego w granicie. Po następnych pięciu godzinach dojeżdża się do góry, z wierzchołka której bieżą dwie równoległe ściany skalne. Górę nazywają Czarcia Ślizgawką. Po trzech następnych godzinach, dotarłszy do Gardiner River, jedzie się jej brzegami, gdyż wzdłuż Yellowstone River nie można się dalej posuwać. Następnie szlak wiedzie wzdłuż gór Washburne i Cascade Creek. Zatoka ta prowadzi do Yellowstone między górnym a dolnym wodospadem. W ten sposób trafia się na brzeg Wielkiego Kanionu, który stanowi chyba największą osobliwość obszarów Yellowstone.

- Jaka to osobliwość? Czy pan ją widział? - zapytał Gruby Jemmy.

- Tak. Kanion jest długi na ponad siedem mil i głęboki na tysiąc metrów. Ściany wznoszą się prawie pionowo. Tylko człowiek o silnych nerwach może się odważyć stanąć nad brzegiem i zajrzeć do przepaści, na której dnie płynie rzeka szeroka na sześćdziesiąt metrów. Oglądana z góry wydaje się cieniutką nitką. A właśnie ta niteczka przed wielu tysiącami lat wydrążyła kanion w

skale. Na dole fale rozbijają się z ogromną siłą o skalne ściany; na górze jednak nie słychać prawie nic.

Żaden śmiałek nie może zejść na dół, a nawet jeśli zejdzie, to niedługo wytrzyma. Zabraknie mu powietrza. Woda jest gorąca, wygląda jak oliwa, posiada wstrętny smak siarki i ałunu, i bardzo nieprzyjemny zapach. Idąc naprzód dochodzi się do dolnego wodospadu, który spada z przeszło stumetrowej wysokości. Po kwadransie znów wodospad zlewa się z trzydziestometrowej wysokości. Na przebycie drogi od tego górnego wodospadu do nas, dobry jeździec potrzebuje dziewięciu godzin. Razem więc od Botties Rangę trzeba dwóch dni drogi, o które wyprzedziliśmy Siuksów Ogallalla. Oczywiście nie są to dokładne obliczenia, ale przecież nie chodzi o kilka godzin mniej lub więcej. Wystarczy stwierdzić, że nasi wrogowie nie mogą tu jeszcze być.

- A gdzie będą jutro o tej porze? - zapytał Marcin Baumann.

- Nad górnym wylotem kanionu. A dlaczego pan pyta?

- Bez szczególnego powodu. Rozumie pan chyba, że w duchu towarzyszę ojcu. Kto wie, czy jeszcze żyje.

- Jestem tego pewny.

- Siuksowie mogli go zabić.

- Niech pan sobie nie zaprzęta głowy podobnymi myślami! Ogallalla chcą sprowadzić jeńców do grobowca wodza. Niech pan ufa, że nie zmienią zamiaru. Im później zabija się jeńców, tym dłużej trwają katusze. Ogallalla ani myślą skracać ich męczarni szybką śmiercią.

Odszedł w stronę, gdzie już leżał pogrążony we śnie Winnetou, zawinął się w kołdrę i położył obok swego czerwonego przyjaciela. Pozostali, szepcząc, siedzieli przy ognisku.

- Bardzo, bardzo piekielnie mi przykro, że oszukamy tego dzielnego człowieka rzekł po cichu Jemmy. - Ale ten mały niedźwiedziarz umie tak pięknie prosić, że mnie, staremu, grubemu szopowi, serce uciekło wraz z rozumem. No, wierzę, że sprawa skończy się dobrze.

- Ostrzegałem od samego początku - mruknął Davy - i ostrzegam jeszcze raz.

- Ale niech pan pomyśli, mój drogi panie Davy - odparł Marcin - że nie możemy czekać jeszcze całe trzy dni! Umieram z troski i niepokoju.

Przecież Old Shatterhand wyjaśnił panu, że jeńcy jeszcze żyją.

Mógł się pomylić. Czy zapomniał pan, że obaj - pan i Jemmy pierwsi byliście gotowi pośpieszyć z pomocą? A teraz nie mogę na was polegać...

- Do licha! Takiego wyrzutu nie ścierpię! Z przychylności do pana dałem przyrzeczenie, więc nie powinien mi pan zarzucać, że go nie dotrzymałem. A więc jadę z wami, ale tylko pod jednym warunkiem!

- Proszę, niech pan powie! Spełnię go, o ile tylko to będzie w mojej mocy.

- Podkradniemy się do Siuksów Ogallalla tylko po to, aby stwierdzić czy pański ojciec jeszcze żyje, ale nie będziemy próbowali go uwolnić.

- Dobrze, zgoda.

- Pięknie! Wyobrażam sobie, co się dzieje w pańskim sercu. To wzrusza moje stare, dobre sumienie i dlatego towarzyszę panu. Lecz gdy ujrzemy, że pański ojciec żyje, wrócimy do swoich.

- Jutro rano będą się niepokoiли o nas, ale przypuszczam, że Murzyn zdoła ich uspokoić - rzekł Jemmy. - Teraz milczmy, aby nie budzić podejrzeń. Księżyc wschodzi. Zgasimy ognisko i położymy się pod drzewami w cieniu, aby nie spostrzeżono naszego odejścia.

- Dobrze, że księżyc świeci-powiedział HobbIe-Frank - przynajmniej znajdziemy drogę.

- Mamy dokładne wskazówki - wciąż wzdłuż rzeki. Co prawda niemiło mi, że jestem zmuszony oszukiwać towarzyszy, ale przecież to nie może im zaszkodzić. Poprzednio my także mieliśmy prawo do decyzji; teraz wodzami są Old Shatterhand i Winnetou. Długiego i Grubego pyta się o zdanie tylko między innymi. Czas dowiedzie, że my także jesteśmy westmanami, że potrafimy wymyślić i wykonać własny plan.

Wygaszono ognisko. Nie płonęły już także pozostałe, przy których siedzieli Indianie. Cisza zaległa obóz, cisza przerywana w regularnych odstępach czasu, gwizdaniem wybuchającej z ziemi pary.

Minęła przeszło godzina. Pod drzewami, gdzie leżeli Frank, Jemmy, Marcin i Wohkadeh zaczął się ostrożny ruch.

- Niech moi bracia pójda za mną! - rzekł młody Indianin. - Już czas.

Zabrali broń oraz inne potrzebne rzeczy i zaczęli się skradać do koni.

Bystre oko Wohkadeha szybko odróżniło pięć rumaków od pozostałych.

Nie obeszło się bez lekkiego szmeru. Dlatego zatrzymali się na chwilę, nad słuchując, czy ktoś się nie obudził. Wreszcie sprowadzili powoli konie, których tętent tłumiała trawa.

Jednak nie udało się niepostrzeżenie odejść. Chociaż trudno się było spodziewać wroga, wystawiono kilku strażników, którzy zmieniali się od czasu do czasu. Było to potrzebne chociażby ze względu na dzikie zwierzęta. Spiskowcy musieli wyminąć jednego z postawionych strażników.

Wartę pełnił Szoszon. Poznał przyjaciół i dlatego nie podniósł alarmu.

Światło księżyca przenikające przez poszczególne gałęzie, pozwoliło rozpoznać uciekinierów.

- Czego tu szukają moi bracia? - zapytał Indianin.

- Mów szeptem, aby nikogo nie obudzić! - odparł Jemmy. - Old Shatterhand wysła nas. Wie, dokąd jedziemy. Czy to ci wystarczy?

- Moi biali bracia są moimi przyjaciółmi. Nie mogę przeszkodzić, jeżeli pragną wykonać rozkaz wielkiego wojownika.

Kiedy oddalili się na dosyć znaczną odległość, dosiedli rumaków, i pomknęli wzdłuż jeziora, aby dotrzeć do ujścia Yellowstone River, a następnie z jej biegiem pojechać na północ.

Szoszon uważał ten wypadek za tak prosty i zrozumiały, że nie zadawał sobie trudu, aby oznajmić o tym zmieniającemu go towarzyszowi. Do samego rana nie rozeszła się wieść o zniknięciu odważnych, choć raczej lekkomyślnych wycieczkowiczów.

Pobudka miała nastąpić o świcie. Kiedy więc w krzakach rozległy się pierwsze ptaszące śpiewy, wszyscy zerwali się na nogi. Spostrzeżono z przerażeniem nieobecność pięciu przyjaciół. Okazało się, że wyjechali z obozu na własnych koniach. Teraz dopiero Szoszon, który stał w nocy na warcie, zameldował o wypadku i powtórzył Old Shatterhandowi słowa Grubego Jemmy'ego.

Winnetou nie mógł, mimo swej przenikliwości, pojąć postępowania zbiegłych.

- Na pewno wyjechali na spotkanie Siuksów Ogallalla - wyjaśnił Old Shatterhand.

- Chyba potracili głowy! - gniewał się Apacz. - Nie tylko nie unikną niebezpieczeństwa, ale na domiar złego zdradzą naszą obecność.

Ale czemu to zrobili?

- Aby się dowiedzieć, czy niedźwiedziarz jeszcze żyje.

- Jeśli umarł, nie zdołają go wskrzesić, a jeśli jeszcze żyje, narażają go tylko na większe niebezpieczeństwo. Winnetou może wybaczyć ten wielki błąd dwóm młodym, odważnym chłopcom, ale obaj starzy myśliwi powinni być wystawieni u pała na pośmiewisko squaw i dzieci.

W tej chwili podszedł do nich Murzyn Bob. Cuchnął nadal i dlatego odganiano go od siebie. Miał na sobie końską derkę, której pożyczył mu Długi Davy. Przed chłodem nocy osłaniał się skórą niedźwiedzia zabitego przez Marcina.

- Pan Shatterhand szukać pana Marcina? - zapytał.

- Tak. Czy możesz mi przekazać jakieś wiadomości?

- O, pan Bob być bardzo mądry! Wiedzieć, gdzie być pan Marcin.

- Gdzie?

- Być daleko, do Siuksów Ogallalla, aby zobaczyć schwytanego pana Baumanna. Pan Marcin powiedzieć wszystko panu Bobowi, aby pan Bob opowiedzieć panu Shatterhandowi.

- A więc tak jak myślałem - rzekł Old Shatterhand.

- Kiedy wrócą?

- Kiedy zobaczyć pana Baumanna, wtedy przyjść do Fire River.

Więcej pan Bob nie wiedzieć.

- Twój dobry pan Marcin popełnił głupstwo. Myślę, że może je przypłacić gardłem.

- Co? Pan Marcin przyplącić gardłem? W takim razie pan Bob natychmiast dosiadać konia i pędzić uratować pana Marcina!

- Tak tak samo jak wtedy, kiedy mówiłeś, że zabiłeś niedźwiedzia a wszedłeś ze strachu na brzozę.

- Ogallalla nie być niedźwiedź. Pan Bob nie bać się Ogallalla!

Wyciągnął groźnie swe wielkie pięści z taką miną, jakby chciał zmiażdżyć dziesięciu Ogallalla naraz.

- No dobrze, spróbujemy, jeśli tak bardzo kochasz swego młodego pana. Bądź gotów za parę minut. Wyruszamy w drogę!

Bob odszedł.

Zwracając się do Winnetou, który stał wraz z przywódcą Upsaroków, wodzem Szoszonów i jego synem, Shatterhand dodał:

- Mój brat pojedzie dalej i poczeka na mnie przy K'un-tui-temba, Paszczy Piekła. Ze mną zaś pojedzie piętnastu jeźdźców Upsaroków ze swoim wodzem, Moh-aw oraz piętnastu wojowników Szoszonów. Musimy natychmiast wyruszyć za pięcioma szaleńcami, aby nie dopuścić do nieszczęścia. Trudno mi określić, z której strony przybędziemy do Paszczy Piekła. Może się zdarzyć, że Siuksowie Ogallalla wcześniej dotrą do grobowca niż ja ze swoim oddziałem.

Po kilku minutach Old Shatterhand z czerwonoskórymi wojownikami cwałował śladem pięciu nieprzezornych spiskowców.

Rzecz zrozumiała, że uciekinierzy wyprzedzili Old Shatterhanda o szmat drogi. Co prawda noc i nieznajomość terenu utrudniała jazdę, ale bardzo się rankiem oddalili od jeziora Yellowstone, a potem puścili konie w cwał.

Widok rzeki i brzegów był dziwny i wspaniały. Dolina rzeki, z początku dosyć szeroka, była po obu stronach urozmaicona krajobrazowe.

Miejscami skały wznosiły się stopniowo w górę - miejscami opadały bardzo stromo. A wszędzie czuło się działanie wulkanu.

W zamierzchłej przeszłości, teren ten był morzem o powierzchni wielu tysięcy mil kwadratowych. Potem pod wodami zaczęły działać wulkaniczne siły. Grunt się podniósł, miejscami popękał. Ze szczelin tryskała rozżarzona lawa i pod wpływem chłodnych wód ścinała się w bazalt.

Utworzyły się ogromne kratery wyrzucające z łona ziemi różne gorące głązy, które wraz z najróżniejszymi minerałami ukształtowały grunt pełen niezliczonych gorących mineralnych źródeł. Potem ogromne ciśnienie podziemnych gazów podniosło w górę całe dno jeziora tak, że woda musiała odpłynąć i poprzebijala sobie głębokie koryta. Zwykła ziemia i kamienie zostały zmyte. Zimno i upał, burze i ulewy dokonały dzieła zniszczenia wszystkiego, co nie umiało stawić skutecznego oporu.

Wytrzymały jedynie twarde, zakrzepnięte kolumny lawy.

W ten sposób woda wydrążyła sobie głębokie na tysiąc stóp łożyska, zniszczyła wszystko, co było słabe, coraz głębiej podmywała skały i utworzyła wspaniałe kaniony i wodospady, które można podziwiać w Parku Narodowym Yellowstone.

Wyniosłe wulkaniczne brzegi były poszarpane przez kolejne wybuchy lawy, która kształtowała je w różne formy. Czasem wydaje się, że widać ruiny starego zamku. Widać puste wgłębienia okiennic, wieże wartownicze i mosty zwodzone. Nieco dalej wznoszą się wysmukłe minarety* - zdaje się, że za chwilę stanie na górze muezzin* i zwoła wiernych do modlitwy. Naprzeciw minaretów widać rzymski amfiteatr, w jakim kiedyś chrześcijańscy niewolnicy walczyli z dzikimi bestiami, obok stoi chińska pagoda, a dalej nad rzeką piętrzy się wysoka na sto stóp postać zwierzęca, tak potężna, tak niezniszczalna, jak gdyby została wzniesiona jako bóstwo przedpotopowych ludów.

To wszystko jest tylko złudzeniem. Wulkaniczne wybuchy dostarczały materiału, który później ukształtowała woda. Kiedy człowiek patrzy na te twory sił przyrody, czuje się drobnym robaczkiem powstałym z prochu i rozstaje się z dumą, która go dotychczas rozpierała.

Tam, gdzie rzeka zakreśla szeroki łuk na zachód, licznie występują gorące źródła i rozlewają się w dosyć sporą rzeczku wpadającą do Yellowstone River. Okazało się, że nie można stąd pojechać wprost do brzegów tej rzeki, więc pięć białych skierowało się na lewo, aby podążyć wzdłuż gorącej strugi.

Nie było ani drzew, ani trawy. Wszystkie rośliny wyginęły. Gorąca woda była mętna i brudna i cuchnęła jak zgniłe jajka. Ledwie można było znieść ten zapach. Zmienił się na lepszy dopiero, gdy dotarli do wyżyn.

Była tu wreszcie jasna, świeża woda i wkrótce ukazały się krzewy, a nawet drzewa. ' Nie było oczywiście mowy o prawdziwej drodze. Konie musiały się często przepychać przez skaliste zwały, które wyglądały tak, jak gdyby kiedyś spadła tutaj z nieba góra i rozbiła się na kawałki. Głazy miały miejscami dziwny kształt. Od czasu do czasu pięciu jeźdźców przystawało, aby podzielić się wrażeniami. Tak upływał czas i w południe przebyli dopiero połowę drogi.

Nagle ujrzeli w oddali duży budynek. Był to willa z ogrodem, zbudowana jakby w stylu włoskim, otoczona wysokim murem. Zdumieni jeźdźcy osadzili konie.

- Dom tutaj, w Yellowstone! Niewiarygodne! - zawołał Jemmy.

- Dlaczego? - zapytał Frank. - Ale przyjrzyj się dokładnie temu domowi! Czy w bramie nie stoi człowiek?

- Ależ tak! W każdym razie tak to wygląda. Ale teraz już znikł. To mógł być tylko cień.

- Tak? Gdzie jest cień ludzki, tam musi być też i człowiek. A kiedy cień znikł, to albo słońce się skryło, albo ten, który rzucał cień. Słońce jeszcze świeci, a więc odszedł człowiek. Zaraz zobaczymy, dokąd.

Zbliżyli się do budynku i stwierdzili, że nie jest dziełem ludzkich rąk, ale przypadkowym tworem natury. Domniemane mury składały się z oślepiająco białej masy. Otwory mogły z daleka uchodzić za okna i bramę. Widać było obszerny dziedziniec, podzielony skałami na kilka części. Pośrodku biło z ziemi źródło i toczyło jasną, zimną wodę ku bramie.

- Zdziwiałe! - przyznał Jemmy. - To miejsce świetnie nadaje się do odpoczynku. Czy wejdziemy?

- Czemu nie? - odpowiedział Frank. - Ale nie wiemy, czy drab, który tam mieszka, nie jest nicponiem.

- Pshaw! Pomyliliśmy się, nie ma chyba mowy o człowieku. W każdym razie zbadam okolicę.

Wjechał ze strzelbą gotową do strzału przez bramę i zajrzał na podwórze. Po czym odwrócił się i zawołał:

- Chodźcie, nie ma żywej duszy!

- Spodziewam się - oświadczył Frank. - Niechętnie obcuje z duszami zmarłych, kiedy wiodą życie duchowe-na ziemi.

Davy, Marcin i Frank poszli za przykładem Grubego. Tylko Wohkadeh przezornie się zatrzymał.

- Czemu mój czerwony brat nie jedzie? zapytał syn niedźwiedziarza. Indianin wciągnął powietrze podejrzliwie nozdrza i odparł:

- Czy moi bracia nie czują zapachu koni?

- Naturalnie. Przecież siedzimy na koniach.

- Ten zapach szedł z bramy zanim wjechaliśmy.

- Nie widać tu jednak ani człowieka, ani zwierzęcia, ani ich śladów.

- Ponieważ teren jest skalisty, niech moi bracia mają się na baczności!

- Nie ma powodu do obaw - oświadczył Jemmy wjeżdżając głębiej.

- Chodźcie! Obejrzymy dokładnie.

Zamiast czekać aż wróci, wszyscy pojechali za nim.

Naraz rozległo się wojenne wycie, aż ziemia zadrżała. Z głębi wyskoczyła znaczna ilość Indian i w sekundę potem czterej nierozsądni biali byli już okrażeni. Wysoki, szczupły i wysuszony Indianin z ozdobami wodza na głowie, zawołał łamaną angielszczyzną:

- Poddajcie się, bo zabierzemy wam skalpy!

Zaskoczeni biali zrozumieli, że opór nie ma najmniejszego sensu.

- Do licha! - krzyknął Jemmy po niemiecku. - Wjechaliśmy im wprost do rąk! To są Siuksowie Ogallalla, właśnie ci, których chcieliśmy szpiegować! I zwracając się do wodza, dodał po angielsku: - Podać się? Nie wyrządziliśmy wam żadnej krzywdy. Jesteśmy przyjaciółmi czerwonych mężów.

- Siuksowie Ogallalla zwrócili topór wojenny przeciwko białym odparł Indianin. - Zejdźcie z koni i odłóżcie broń! Nie będziemy czekać.

Pięćdziesiąt par oczu wbiło się ponuro w białych i pięćdziesiąt czerwono-brązowych pięści ścisnęło rękojeście noży. Pierwszy zsiadł z wierzchowca Davy.

- Ustąpcie! - rzekł do towarzyszy. - Musimy zyskać na czasie. Nasi na pewno przybędą z odsieczą.

Towarzysze zeskoczyli z koni i oddali swoją broń. Wohkadeh nie wjechał za nimi, został za ogrodzeniem. Z zewnątrz ujrzał całą scenę i natychmiast uskoczył na bok, aby go nie spostrzeżono. Potem zsiadł z konia, położył się na ziemi i wysunął głowę o tyle, żeby mógł zajrzeć na podwórze.

To co ujrzał, napełniło go grozą. Poznał wodza. Był to Hong-peh-te-keh, Ciężki Mokasyn, przywódca Siuksów Ogallalla, do których on sam kiedyś należał i od których uciekł.

Cóż miał uczynić? Wrócić czym prędzej do jeziora, aby sprowadzić Old Shatterhanda i towarzyszy? Bynajmniej. Niezwykle śmiała myśl strzeliła mu do głowy. Dosiadł konia i wjechał na podwórzec z najzwyczajszą miną na twarzy.

Właśnie przygotowano rzemienie do wiązania czterech białych. Wohkadeh w kilku krokach znalazł się przy nich, - Uff! - zawołał. - Od jak dawna Siuksowie Ogallalla wiążą swoich najlepszych przyjaciół? Ci biali są braćmi Wohkadeha!

To jego nagłe pojawienie się zdziwiło Indian. Ciężki Mokasyn groźnie ściągnął brwi, ostrym spojrzeniem zmierzył młodzieńca od stóp do głowy i odpowiedział:

- Od jak dawna te białe psy są braćmi Ogallalla?

- Od czasu, gdy uratowali życie Wohkadehowi.

Wódz przenikliwie spojrzał na Wohkadeha. Zapytał:

- Gdzie był dotychczas Wohkadeh? Czemu nie wrócił na czas, gdy wysłano go, aby szpiegował wrogów?

- Ponieważ schwytały go psy Szoszonów. Ci czterej biali walczyli za niego i uratowali życie Wohkadeha. Wskazali mu drogę, która szybko i łatwo prowadzi do Yellowstone i pojechali z nim, aby wypalić fajkę pokoju z Ciężkim Mokasynem.

Szyderczy uśmiech zadrżał na wargach wodza.

- Złaz z konia i podejdź do swoich białych braci! - rozkazał. — Jesteś naszym jeńcem, tak samo jak oni.

- Wohkadeh jest jeńcem własnego plemienia? Kto dał Ciężkiemu Makasynowi prawo zniewalania wojowników swojego narodu?

- Sam sobie nadał to prawo! Jest dowódcą wyprawy wojennej i może robić co mu się podoba.

Wohkadeh spiął konia ostrogami i okręcił go wokoło na tylnych nogach. Ponieważ rumak bił przednimi kopytami w powietrzu, więc otaczający go Siuksowie musieli się cofnąć. Wohkadeh miał więc przed sobą wolne miejsce. Złożył cugle na szyi wierzchowca uwalniając dzięki temu również prawą rękę i złożył się do strzału.

- Od jak dawna naczelnicy Siuksów Ogallalla mogą robić co im się podoba? Na cóż więc istnieje zgromadzenie starszyny plemiennej?

Wohkadeh jest młody, ale zabił białego bawołu i nosi na głowie orle pióra. Nie pozwoli się schwytać w niewolę, a kto go obraża, będzie musiał z nim walczyć.

Te dumne słowa nie przebrzmiały bez echa. Naczelnicy Indian nie dosiadają władzy dziedzicznej ani innych atrybutów europejskich władców. Nie mogą ustanawiać praw ani wydawać zarządzeń. Wybiera się ich spośród wojowników na podstawie okazanej odwagi lub mądrości.

Wpływ i władza polegają głównie na osobistym autorytecie, na wrażeniu jakie wywiera osoba naczelnika. Wódza można złożyć z urzędu, jeśli straci uznanie.

Ciężki Mokasyn słynął z surowości i samowoli. Wprawdzie bardzo przysłużył się własnemu plemieniu, ale jego hardość i upór szkodziły mu bardzo. Był srogi, okrutny i chciwy krwi. Plemię więc rozpadło się na dwa stronnictwa: zwolenników i przeciwników Ciężkiego Mokasyna, zarówno jawnych, jak i ukrytych.

To rozdwojenie wyszło teraz na jaw, kiedy Wohkadeh przemówił.

Wielu Siuksów wydało okrzyki uznania i zachęty. Naczelnik obrzucił ich wściekłym spojrzeniem, skinął na kilku najwierniejszych popleczników, którzy natychmiast obsadzili wyjście i odpowiedział:

- Każdy Siuks Ogallalla jest wolnym człowiekiem. Ale gdy wojownik staje się zdrajcą wobec swoich braci, traci prawa wolnego człowieka!

- Udowodnij, że jestem zdrajcą!

- Udowodnię to wobec zgromadzenia wojowników.

- A ja stanę wobec tego zgromadzenia jako wolny mężczyzna, z bronią w ręku i będę się bronił. A jeśli udowodnię, że Ciężki Mokasyn obraził mnie bez powodu, będzie musiał ze mną walczyć!

- Zdrójca nie występuje na zgromadzeniu z orężem w ręku. Wohkadeh złoży swoją broń. Jeśli okaże się niewinny, otrzyma broń z powrotem.

- Uff! Kto się ośmieli ją odebrać?

Młodzieniec wyzywająco powiódł oczami dokoła. Widział, że wiele twarzy spogląda na niego z uznaniem. Ale od większości bił chłód.

- Nikt ci jej nie odbierze - odparł wódz. - Sam ją złożysz. A jeśli nie, spotka cię kula.

- Ja mam nawet dwie kule w strzelbie.

Mówiąc to uderzył ręką po kolbie.

- Wohkadeh, który odszedł od nas, nie posiadał strzelby. Podarowali mu ją biali, którzy dają ją tylko wtedy, kiedy mają z tego pożytek.

Wohkadeh świadczył im przysługi, a nie oni jemu. Wohkadeh jest Mandana. Nie zrodziła go squaw Siuksów. Kto spomiędzy odważnych wojowników pragnie wziąć Wohkadeha w obronę zanim on sam odpowie?

Nikt się nie zgłosił. Ciężki Mokasyn spojrzał zwycięsko na Wohkadeha i rozkazał:

- A więc zsiadaj z konia i oddaj broń! Będziesz się bronił słowami, po czym zapadnie wyrok. Twój upór dowodzi tylko, że jesteś winny.

Wohkadeh pojął, że musi ustąpić. Bronił się dotąd, chciał wyrzucić jak najlepsze wrażenie na przeciwnikach wodza.

- Jeśli tak myślisz, zastosuję się do nakazu - rzekł. - Moja sprawa jest słuszna. Mogę spokojnie oczekiwać waszego wyroku i od tego czasu oddaję się w wasze ręce.

Zsiadł z konia i złożył broń u stóp wodza, który szepnął coś na ucho najbliższemu wojownikom. Siuksowie natychmiast wyciągnęli rzemienie, aby związać Wohkadeha.

- Uff! - zawołał gniewnie młodzieniec. - Czy mówiłem, że pozwalam wam na to?

- Biorę sobie to pozwolenie! - odezwał się wódz. - Zwiążcie go i połóżcie samego w kącie, aby nie mógł się porozumieć z białymi jeńcami.

Cóż pomógłby opór? Wohkadeh musiał poddać się losowi. Związano mu ręce i nogi i położono w kącie. Dwóch Siuksów usiadło na straży.

Stary wojownik podszedł do wodza i rzekł:

- O wiele więcej zim przeszło nad moją głową niż nad twoją, dlatego nie gniewaj się, że zapytam, czy naprawdę masz powody do uznania Wohkadeha za zdrajcę?

- Odpowiem ci, bo jesteś najstarszym z moich wojowników. Nie mam innego powodu prócz tego, że najmłodszy z białych jeńców jest podobny do niedźwiedziarza, który leży przy koniach.

- Czy to dostateczny powód?

- Tak. Wkrótce się przekonasz.

Podszedł do jeńców, którzy bezradnie musieli się przypatrywać i przysłuchiwać śmiałemu wystąpieniu Wohkadeha. Niestety, ani Jemmy, ani Davy nie władali językiem Siuksów na tyle, żeby zrozumieć wszystko, co mówiono.

Chytry wódz zrobił mniej surową minę i rzekł:

- Wohkadeh, zanim od nas odszedł, popełnił czyn, nad którym musimy się naradzić. Dlatego chwilowo skrupowaliśmy go. Jeśli się okaże, że biali go jeszcze wtedy nie znali, to odzyskają wolność. Jak się nazywają biali mężowie?

- Czy powiemy? - zapytał Davy przyjaciela.

- Tak - odparł Jemmy. - Być może nabierze do nas większego szacunku. - I zwracając się do wodza dodał:

- Nazywam się Jemmy-petahtszeh, a ten wysoki wojownik to Davy-honskeh. Chyba znasz te imiona?

- Uff! - rozległo się w gromadzie Siuksów.

Wódz skarcił ich wzrokiem. Chociaż sam był zdumiony, że ma w swojej mocy tak słynnych myśliwych, nie zdradził się jednak najmniejszym gestem.

- Ciężki Mokasyn nie zna waszych imion - odparł. - A kim są ci dwaj mężowie?

pytanie dotyczyło Franka i Marcina. Davy podszeptał Grubemu:

- Na miłość boską, nie wymieniaj nazwisk!

- Co mówi ten biały?! zapytał surowo naczelnik. - Niechaj odpowiada ten, którego pytam!

Jemmy musiał się zdecydować na kłamstwo. Wymienił pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu wpadło do głowy i podał Franka i Marcina za ojca i syna.

Wódz badawczo przyjrzał się jednemu i drugiemu, po czym uśmiechnął się ironicznie. Jednak rzekł przyjaznym głosem:

- Niech biali idą za mną! - i skierował się w głąb podwórza.

Domniemany dom był kiedyś wielką skałą składającą się ze skalenia i bardziej miękkich minerałów, które zostały zmyte ulewami. W wyniku tego utworzyła się budowla przypominająca długi, otoczony wysokimi murami dziedziniec, podzielony bocznymi ścianami na kilka części.

Najgłębsza była zarazem najobszerniejsza. Zmieścił się w niej cały tabun koni Ogallalla. W kącie leżało sześciu białych ze skrępowanymi rękami i nogami. Znajdowali się w opłakanym stanie. Odzież zwisała w strzępach. Ciało mieli obolałe i poranione od więzów. Twarze oblepione brudem, włosy na głowie i brodzie skołtunione. Mieli zapadnięte policzki, a oczy cofnięte w głąb oczodołów - wymowne świadectwo przebytego głodu, pragnienia i innych cierpień.

Do nich przyprowadzono nowych jeńców. Podczas marszu Marcin szepnął do Grubego Jemmy'ego:

- Dokąd wódz nas prowadzi? Może do ojca?

- Być może. Ale na miłość Boską, nie zdradz się, że go znasz, .inaczej wszyscy będziemy zgubieni!

Tutaj leżą schwytni biali - - rzekł wódz. - Ciężki Mokasyn nie zna dobrze ich języka, nie wie zatem, kim są. Biali mężowie mogą do nich podejść i porozmawiać, a potem powiedzą mi co usłyszeli.

Zaprowadził jeńców do kąta. Jemmy wystąpił co prędzej Naprzód i rzekł po niemiecku:

Sądę, że znajduje się tu niedźwiedziarz Baumann. Na Boga, niech pan się nie zdradzi, że poznał pan swego syna, który stoi tu Zci mną.

Przyszliśmy, aby was uratować, ale sami wpadliśmy w ręce Indian.

Mimo to mamy pewność, że niebawem wszyscy razem będziemy wolni, Czy wymieniliście nazwiska temu łotrowi?

Baumann nie odpowiedział od razu. Oniemiał wprost na widok syna Dopiero po chwili z wysiłkiem wykrztusił:

- O mój Boże, jaka radość, ale też jaki żal! Siuksowie znają mnie a także imiona moich towarzyszy.

- Pięknie. Spodziewam się, że nas tutaj zostawią. Wtedy dowie się pan o wszystkim.

Chociaż wódz nie rozumiał ani słowa, wyteżał słuch. Usiłował z tonu poznać treść rozmowy. Badawczym spojrzeniem obrzucał na przemian Baumann'a i jego syna. Nadaremnie. Marcin tak nad sobą panował, że nie stracił obojętnego wyrazu twarzy, choć tłumił łzy rozpacz i żalu, które napływały mu do oczu na widok ojca.

- No - zapytał gniewnie rozczarowany wódz - czy jeńcy wymienili - swoje nazwiska?

- Tak - odparł Jemmy. - Ale przecież już je znasz.

- Sądziłem, że mnie okłamali. Zostaniecie tutaj!

Cień udanej przychylności znikł z jego twarzy. Skinął na towarzyszących mu wojowników, którzy wypróżnili kieszenie jeńców, po czym zwiążali ich ponownie.

- Wspaniale! - mruknął Davy, widząc, że w kieszeni zostało mu jedynie płótno. - Winniśmy wdzięczność tym sępom skalnym, że nie pozbawiają nas odzieży.

- Panie Jemmy - szepnął Hobbie-Frank - ta historia wcale mi się nie podoba. To jest ten szubrawiec, który mi kiedyś przestrzelił nogę.

Ułożono nowych jeńców przy poprzednich. Wódz oddalił się pozostawiając na straży kilku wojowników.

Nieszczęśni biali nie odważyli się głośno rozmawiać. Szeptali tylko po cichu. Marcin leżał przy ojcu, co pozwalało na powitanie i wymianę paru zdań. Po pewnym czasie przyszedł jakiś Siuks i uwolnił nogi jednego z dawnych jeńców i kazał mu iść za sobą. Jeniec nie mógł normalnie chodzić. Chwiał się i z trudem pokuśtykał za Indianinem.

- Czego od nas chcą? - zapytał Baumann.

- Ma nas wydać - odezwał się Davy. - Na szczęście moi towarzysze nic jeszcze nie zdążyli powiedzieć o pomocy, której się spodziewamy.

- Ale wspomnieli o niej.

- Nic niebezpiecznego. Strzeżmy się tego człowieka, gdy do nas wróci.

Musimy się przekonać, czy można mu ufać.

Davy miał słuszość. Jeńca zaprowadzono do wodza, który zmierzył go posepnym wzrokiem. Nieszczęsny nie mógł się utrzymać na nogach.

i Musiał usiąść na ziemi.

- Czy wiesz, jaki los cię czeka? - zapytał wódz.

- Tak - odparł zapytany znużonym głosem. - Mówiliście nieraz.

- Śmierci nie unikniecie, najbardziej męczeńskiej śmierci. Doświadczycie najstraszniejszych tortur na cześć grobowca, nad którym zginiecie. Co byś dał, aby uniknąć tortur i uratować życie?

- Czy można je uratować? Co musiałbym zrobić?! - zapytał jeńiec.

Widać było, że jest bardzo osłabiony i przygnębiony.

Powiedz prawdę, wtedy daruję ci życie. Czy niedźwiedziarz ma syna?

- Tak.

- Czy jest nim ten młody człowiek, którego schwytaliśmy?

—Tak.

- Kim jest kulawy?

- Towarzystwem niedźwiedziarza, Hobbie-Frankiem.

- Postaraj się dowiedzieć, w jaki sposób zetknęli się z Wokadehem i czy jest tu jeszcze więcej białych i dokąd zmierzają. Jeżeli dowiesz się tego, odzyskasz wolność. Ale nie zdradź się!

Odprowadzono go z powrotem do jeńców, ułożono na ziemi i związano nogi.

Jeńcy milczeli. Nieszczęsny biały także nie odezwał się ani słówkiem.

Nie było mu wesoło na duszy, choć był odważnym mężczyzną. Rozmyślając nad zdarzeniem pojął, że wódz na pewno nie dotrzyma słowa. Zrozumiał, że został oszukany. Nie powinien powiedzieć ani słowa. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że nie należy ufać Ciężkiemu Mokasynowi i że stanowczo powinien opowiedzieć Baumannowi, o czym rozmawiał z wodzem.

Niedźwiedziarz przyszedł mu z pomocą. Po upływie dłuższej chwili zapytał:

- No, kolego, czemu zachowuje się pan tak cicho? Do kogo pana zaprowadzono?

- Do wodza.

- Tak też sobie pomyślałem. Czego od pana chciał?

- Powiem szczerze. Chciał wiedzieć, kim są Frank i Marcin.

Powiedziałem prawdę, ponieważ przyrzekł mi wolność.

- O biada! To było największe głupstwo, jakie mógł pan palnąć. Ale jak się ma rzecz z wolnością?

- Odzyskam ją, jeśli dowiem się, jak ci panowie spotkali niejakiego Wohkadeha i czy jeszcze inni biali są w tych stronach.

- Tak. I sądzi pan, że opryszek wywiąże się z przyrzeczenia?

- Bynajmniej. Po namyśle doszedłem do wniosku, że chce mnie oszukać.

- Rozumnie pan wnioskuje. A ponieważ jest pan szczery, więc wybaczymy panu to gadulstwo. Zresztą, niech pan nie sądzi, że dalibyśmy się podsłuchać. Przejrzeliśmy zamiar wodza i na pewno przy panu nic byśmy nie powiedzieli.

- Ale co mu odpowiem, kiedy mnie znowu wezwie?

- Zaraz pomyślimy - odpowiedział Jemmy. Powie pan, że uratowaliśmy Wohkadeha, kiedy go schwytali Szoszoni i towarzyszyliśmy mu, aby go bezpiecznie zaprowadzić do swoich. Innych białych nigdzie tutaj nie ma. Kiedy spróbuje pana zjednać obietnicami, niech pan nie da się schwytać na wędkę. Prędzej od nas może się pan spodziewać ratunku niż od niego.

Tak załatwiono przykry incydent.

Jeńcy byli tak mocno skrepowani, że więzy wpijały się w ciało.

Jedyny możliwy ruch polegał na tym, że mogli się toczyć z jednego boku na drugi. Dzięki temu zresztą Jemmy zbliżył się do Baumanna, który, leżąc teraz między Marcinem a grubym westmanem, wysłuchał relacji opowiedzianej szeptem i pokrzepił się nadzieją prędkiego oswobodzenia.

Tymczasem wódz zawołał najwybitniejszych wojowników i kazał przyprowadzić Wohkadeha. Wojownicy utworzyli półkole; pośrodku usiadł wódz. Jeniec stanął naprzeciw nich, między dwoma strażnikami, którzy trzymali noże. Był to niewesoły zwiastun dla Wohkadeha.

Świadczył, że sprawa przybrała niepożądany obrót.

Oczy wojowników wbiły się ponuro w jeńca. Wódz zaczął:

- Niech Wohkadeh opowie co przeżył od chwili, kiedy się rozstaliśmy.

Wohkadeh spełnił żądanie. Wymyślił bajeczkę, że Szoszoni zauważyli go i schwytali, jednak biali go odbili. Mówił tonem pewnym, przekonywającym, niestety, widział, że nie budzi wiary w słuchaczach.

Gdy skończył, żaden z wojowników nie odezwał się ani słowem. Wódz zapytał:

- Kim są ci czterej biali?

Wohkadeh wymienił najpierw Grubego Jemmy'ego i Długiego Davy'ego i dodał, że to wielki zaszczyt dla Siuksów, że Zawitali do nich tak słynni myśliwi.

- A dwaj pozostali?

Wohkadeh nie odczuł zakłopotania. Odpowiedź przygotował wcześniej. Wymienił jakieś nazwisko dla Franka i oświadczył, że Marcin jest jego synem.

Wódz ani drgnął, zapytał tylko:

Czy Wohkadeh nie wie, że niedźwiedziarz ma syna imieniem Marcin?

- Nie.

I że mieszka z nim człowiek zwany Hobbie-Frankiem?

Nie.

Wohkadeh zachował spokój zewnętrzny, chociaż zrozumiał, że sprawa jest przegrana. Teraz wódz huknął:

Wohkadeh jest psem, cuchnącym wilkiem! Czy sądzi, że nie wiemy, iż schwytaliśmy Franka oraz syna niedźwiedziarza? Wohkadeh sprowadził białych, aby odbili jeńców. Podzielił zatem ich los! Zgromadzenie wojowników postanowi dzisiaj przy ognisku, jaką śmiercią ma zginąć Wohkadeh. Odprawiono Wohkadeha i przytroczono go do konia, gdyż niebawem trzeba było wyruszyć w drogę. To samo spotkało innych jeńców.

Przy Wohkadehu było dwóch strażników, którzy jednocześnie mieli za zadanie trzymać jeńca z dala od białych.

Żał było patrzeć, jak nieszczęśliwie siedzieli na koniach Baumann i jego pięciu towarzyszy. Gdyby im nie przywiązano nóg do wierzchowców, nie utrzymaliby się na ich grzbietach.

Jemmy szepnął do przyjaciela:

Cierpliwości, stary! Musiałbym się bardzo mylić, gdyby Old Shatterhand nie był w pobliżu. To, co właśnie zrozumieliśmy, mianowicie to, że jesteśmy głupcami, on wiedział już dziś rano. W każdym razie przybędzie z oddziałem czerwonoskórych. Postarałem się więc, aby wpadli na nasz ślad.

Jakim sposobem?

- Patrz! Wydarłem sobie kawał sierści z futra i zębami rozerwałem na drobne kawałki. Tam, gdzie leżeliśmy, zostawiłem taki kłak i podczas jazdy opuszczałem od czasu do czasu po kawałeczku. Zostaną na miejscu, bo nie ma wiatru. Gdy Old Shatterhand przyjedzie do tego piekielnego budynku, znajdzie kawałek futra i zrozumie, że podczas takiego upału tylko Jemmy mógł go zostawić. Zacznie szukać, znajdzie pozostałe kłaczki i dowie się w jakim kierunku pojechaliśmy.

Siuksowie nie jechali w stronę rzeki. Dla nich byłaby to droga okrężna. Podążyli na wyżynę o nazwie Grzbiet Słonia, a następnie skierowali się na wprost, do łańcucha gór, dzielących Ocean Atlantycki od Spokojnego.

Gruby Jemmy nie mylił się sądząc, że Old Shatterhand czuwa w pobliżu. Minęły zaledwie trzy kwadransy od zniknięcia Siuksów za wyżyną, gdy Old Shatterhand na czele Upsaroków i Szoszonów przybył z północy drogą, którą utorowały konie pięciu śmiałków.

Jechał na czele wraz z synem wodza Szoszonów oraz mężem leków Upsaroków. Oczy wbił w ziemię. Nie uszedł jego uwadze żaden ślad Zdumiał go wprawdzie widok szczególnej budowli, ale na pytanie męża leków odparł natychmiast:

Przypominam sobie. To nie jest dom, ale skała. Byłem już tam i byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nasi uciekinierzy nie zajrzeli do wnętrza tego pałacu. To jest... Do licha!

Zeskoczył z konia i zaczął badać twarde, bazaltowy grunt. Natknął się bowiem na trop Siuksów.

Jechało tędy wielu ludzi i to przed niecałą godziną - rzekł Obawiam się, że to byli Siuksowie Ogallalla. Kto mógł ciągnąć tędy w takiej sile jeśli nie oni? Ten dom wygląda podejrzanie. Rozdzielili się aby go otoczyć.

Pomknęli galopem naprzód. Otoczyli skałę i Old Shatterhand sam udał się do wnętrza. Polecił, aby w momencie gdy kilkakrotnie wystrzeli wojownicy pośpieszyli za nim.

Sporo czasu minęło zanim wrócił. Wyraz jego twarzy był poważny i zatroskany.

- Nie możemy tracić ani chwili - oświadczył. - Siuksowie Ogallalla schwytali białych i Wohkadeha i uprowadzili ich przed jakąś godziną.

- Czy aby mój brat wie o tym dokładnie? - zapytał Ogniste Serce.

- Tak. Widziałem ślady i zbadałem je dokładnie. Gruby Jemmy zostawił mi znak i wierzę, że znajdziemy jeszcze sporo takich znaków.

Pokazał strzępek futra znaleziony na podwórzu. Było na nim tylko pięć czy sześć włosków, najlepszy dowód, że pochodził z futra Grubego Jemmy'ego.

Co zamierza Old Shatterhand? - zapytał czerwonoskóry. - Czy chce jechać w ślad za Ogallalla?

Tak, i to natychmiast.

A jeśli wrócimy do Winnetou, czy nie znajdziemy ich równie pewnie nad rzeką Kraterów?

- Tak, spotkalibyśmy ich tam. Ale lepiej będzie wziąć Siuksów w dwa ognie. Musimy zatem jechać w ślad za nimi. A może moi czerwoni bracia są innego zdania?

- Nie! odpowiedział gniewnie olbrzym. - Cieszymy się że wpadliśmy na trop Ogallalla. Przywódcą jest Ciężki Mokasyn, a ja z całej duszy pragnę go mieć w swojej garści. Jedźmy!

Trudno było odczytać ślad i dlatego trzeba było powoli jechać.

Grunt stanowiła wulkaniczna masa. O właściwych śladach koni nie mogło być mowy. Jedynie drobne, zmiażdżone kamyki świadczyły o jeźdźcach. Należało zatem wyteżać uwagę. Kawałeczki futra Jemmy'ego, znajdowane od czasu do czasu, bardzo ułatwiały jazdę.

Po pewnym czasie droga skręcała na prawo, a więc na południowy zachód. Oddział dojechał do wyżyny, która dzieliła dwa oceany. Z góry widać było na prawo potoki, które przez Yellowstone i Missouri wpadają do Mississipi, a więc do Zatoki Meksykańskiej, podczas gdy na lewo, w dolinie, wody mknęły ku Snake River, a następnie wpadały do Oceanu Spokojnego.

Teren, nie był tak surowy jak poprzednio, ziemia bardziej miękka, strumyki zaś, nie przepojone siarką, zawierały zdrową i świeżą wodę, sprzyjającą rozwojowi roślinności. Coraz więcej było tu trawy, krzewów i drzew. Trop ściganych został odnaleziony i odciskał się znacznie wyraźniej. Niestety, zbliżał się wieczorny mrok. Należało więc popędzić rumaki, aby jak najbardziej wykorzystać pozostawione ślady.

Wreszcie jeźdźcy wjechali na wspomnianą wyżynę. Jaza była ciężka, a nawet niebezpieczna, pomiędzy odłamkami skał i gęstymi krzewami.

Zapał wieczór. Ponieważ należało się trzymać śladu, który był niewidoczny w mroku, więc jeźdźcy musieli urządzić postój.

Dotychczasowe milczenie trwało nadal. Wszyscy mieli uczucie, jak gdyby, znajdowali się w przededniu rozstrzygających wydarzeń.

Nie zapalono ogniska, ponieważ Old Shatterhand stwierdził po tropach, że wrogowie są oddaleni o niecałe dwie mile angielskie. Nie można więc było pozwolić aby Siuksowie spostrzegli ognisko i odkryli pogoń.

Wszyscy zawinęli się w derki i ułożyli do snu. Uprzednio zaciągnięto strażę. Ledwo zajaśniał brzask, ledwo można było odróżnić poszczególne przedmioty, podjęto dalszą jazdę.

Ślady Ogallalla były jeszcze wyraźne. Po godzinie Old Shatterhand oświadczył, że Siuksowie Ogallalla wczoraj nie obozowali. Nie chcieli odpoczywać dopóki nie dotrą do rzeki Kraterów. Nie był to dobry znak.

Niestety, ścigający nie mogli wykorzystać rękości swoich rumaków, gdyż roślinność ponownie znikła i zamiast miękkiej ziemi, rozciągał się wulkaniczny, twardy grunt.

Nie można było znaleźć tropu. Old Shatterhand przypuszczał, że Siuksowie Ogallalla nie zbczyli z dotychczasowego kierunku, jechał więc wciąż przed siebie. Przekonał się niebawem, że postąpił słusznie.

Wyłoniły się przed nimi wyżyny kraterów, za którymi bez przerwy wrzały słynne gejzery. Flora znów odżywała, a nawet rósł tam las, w którym przeważały ciemne sosny.

Dotarli do wąskiego potoku, który wił się poprzez miękką trawę, wydeptaną przez wiele kopyt. Ślad ciągnął się wzdłuż potoku - łatwo było wywnioskować, że Siuksowie Ogallalla zaprowadzili wierzchowce do wodopoju. A więc szczęśliwie odnaleziono ślady, które odtąd do samej wyżyny były tak wyraźne, że wykluczały pomyłkę.

Droga na górę wiodła pomiędzy drzewami, tak rzadko rosnącymi, że jeźdźcy nie dotykali gałęzi, co ułatwiało jazdę. A jednocześnie taka jazda przez las jest najbardziej niebezpieczna dla westmana. Za każdym drzewem można było spodziewać się ukrytego wroga.

Także i w tym wypadku Ogallalla mogli przypuszczać, że są ścigani!

Zresztą, nie wiadomo było, jakie zegnania zdołali wydusić z nieszczęsnych jeńców, przemocą czy podstępem, i czy w ogóle udało im się wyciągnąć z nich coś ważnego.

Old Shatterhand wysłał więc naprzód kilku Szoszonów, którzy mieli zbadać okolicę i donieść o każdym podejrzanym śladzie.

Na szczęście ta przezorność okazała się zbyt duża, a to dzięki układowi między Grubym Jemmy'm a badanym przez wodza jeńcem.

Ponieważ jeńcy, z wyjątkiem Wohkadeha, w myśl podstępnych zamiarów wodza, jechali razem, więc mogli się ze sobą porozumiewać.

Działo się to za cichą zgodą Ciężkiego Mokasy - który sądził, że jego rzekomy szpieg zasięgnie tą drogą wyczerpujących wiadomości. Zgodnie z tym wieczorem wódz w dyskretny sposób kazał przyprowadzić go do siebie i zaczął wypytywać. Tym razem został całkowicie oszukany, dzięki czemu nie zarządził żadnych środków ostrożności.

A zatem Old Shatterhand wjechał na wyżynę nie napotykać po drodze żadnej przeszkody. Rósł tu gęsty, wysoki las, który zasłaniał widok na przeciwległą dolinę, mimo że ściana skalna zdawała się opadać dość stromo.

Jeźdźcy wjechali między drzewa, usłyszeli po chwili szczególny, stłumiony szmer, przerywany przeraźliwym gwizdem, po którym nastąpił groźny syk, jak gdyby syk pary wypuszczanej z lokomotywy.

- Cóż to takiego? - zapytał zdumiony Moh-aw, syn wodza Szoszo* nów.

- To war-p'eh-pejab* - odpowiedział Old Shatterhand.

Teraz teren opadał najpierw powoli, a potem coraz raptowniej, tak, że niełatwo było się utrzymać w siodle. Dlatego jeźdźcy zeskoczyli z koni i ruszyli pieszo, prowadząc za sobą wierzchowce.

Ślady Ogallalla były jeszcze widoczne, chociaż pochodziły z poprzedniego dnia. Kilkaset stóp niżej las kończył się wyraźną krechą. Ale z boku sięgał do samej doliny, która była teraz widoczna. Przed oczami jeźdźców rozciągał się fantastyczny widok.

Górna dolina Madisonu, znanego tu pod wymowną nazwą rzeki Kraterów, stanowi najbardziej godne podziwu miejsce w Parku Narodowym Yellowstone.

Na wiele mil długie i miejscami na dwie, trzy mile szerokie, zawiera setki gejzerów, z których wytryski sięgają nieraz setki metrów w górę. Zapach siarki bucha z licznych szczelin, a powietrze jest zawsze pełne gorącej pary.

Śnieżnobiała zendra* stanowiła powłokę, błyszczała jaskrawo w promieniach słonecznych. Gdzie indziej znów grunt stanowił gęsty, cuchnący szlam o różnej temperaturze. Tu i ówdzie ziemia raptownie podnosi się, powoli wzdyma niby pęcherz i pęka, zostawiając obszerną, bezdenną dziurę, z której wydostają się kłęby pary tak wysoko, że ćmi się w oczach.

Takie pęcherze powstają raz w tym miejscu, raz w innym. Biada śmiałkowi, który stanie na takiej ziemi! Dopiero co miał pod nogami twardy grunt, który teraz zaczyna się rozgrzewać i

podnosić. Tylko ryzykowny, rozpaczliwy skok, tylko natychmiastowa, najszybsza ucieczka może go uratować.

Uniknąwszy jednego pęcherza, widzi przed sobą i dokoła siebie drugi, trzeci. Stoi bowiem na bardzo cienkiej skorupie, która, jak wątła pajęczyna, zakrywa przeraźliwe głębie ziemi.

Biada także nieszczęsnemu, który wspomniany szlam z dala przyjmuje za twardy grunt! Wygląda przecież jak bagnista ziemia, po której można chodzić. W rzeczywistość! utrzymuje go jedynie ciśnienie wulkanicznej pary.

Wszędzie grunt cofa się w głąb pod nogami, natomiast ślady wypełniają się natychmiast zielonkawożółtą, cuchnącą, piekielną cieczą.

Wszędzie gotuje - się, kotłuje, wrze, gwizdże, syczy, jęczy i szumi.

W powietrzu rozpryskują się strumienie wody i szlamu. Jeśli rzuci się kamień do takiego nagle powstałego i szybko znikającego otworu, to ma się wrażenie, że zostały obrażone duchy podziemia. Woda i szlam wpadają w straszliwy, naprawdę piekielny szał. Wznoszą się, przelewają przez brzegi, jak gdyby chciały porwać przestępcę w przerażającą paszczę zagłady.

Woda w takim kotle jest różnie zabarwiona, biała jak mleko, czerwona, niebieska, żółta, czasami przejrzysta jak szkło. Na powierzchni widać białe, wielkie jedwabiste włókna lub grube, ołowiany szlam który powleka każdy przedmiot powłoką trwałą na parę minut i grubą na parę cali.

Zdarza się, że woda w takich dziurach błyszczy wspaniałą zielenią.

Nagle z boku pojawiają się małe wentyle i oto w zielonej wodzie strzelają promienie wszystkich kolorów tęczy. Jest pięknie, niezrównanie, a za chwilę znów wstrząsająco, przeraźliwie, piekielnie...

Do takiego miejsca przybył Old Shatterhand ze swoimi towarzyszami i schowany za krzewami oglądał te osobliwości i potęgę natury.

Szerokość doliny wynosiła pół mili angielskiej. Powyżej miejsca, gdzie zatrzymał się Old Shatterhand, brzegi schodziły się tak blisko, że rzeka ledwie mogła toczyć swe brudne, złośliwie błyskające fale. Poniżej było tak samo. Odległość od jednej cieśniny do drugiej wynosiła nie więcej niż milę angielską.

Ponieważ do rzeki wpadały gorące strumienie, posiadała wysoką temperaturę, zabójczą dla fauny. Szumiała przy zalesionej ścianie doliny, która była dość stroma, chociaż dostępna. Natomiast przeciwległa ściana wznosiła się pionowo w górę. Stonowała ją czarna, najeżona naturalnymi wieżami skała, która zakreślała łuk od jednej cieśniny do drugiej. Mimo tej krzywizny dolina nie stawała się wcale szersza, gdyż z ciemnej skały zwisał twór kamienny, którego szeroka podstawa sięgała niemal do samego brzegu rzeki.

Ten twór trudno jest znaleźć lepsze wyrażenie - był tak zdumiewający, tak niepojęty na pierwszy rzut oka, że wydawał się zakątkiem zaczarowanego królestwa, gdzie nimfy, elfy i inne fantastyczne istoty wiodły tajemne życie.

Był to twór ukształtowany w formie tarasów, tak delikatnie rozczłonkowany i tak finezyjnie ozdobiony, jakby składał się z najwyszukańszych kryształków śniegu.

Dolny, najobszerniejszy taras, był jak gdyby rżnięty z najszlachetniejszej kości słoniowej. Brzeg posiadał ozdoby, arcydzieła godne mistrza o bogatej wyobraźni. Półkolisty, napełniony wodą, stanowił miednicę, nad którą unosił się drugi taras, błyszczący jak alabaster o złotych ziarenkach. Miał on mniejszą średnicę. Jeszcze mniejszą miał trzeci, wydawało się, że jest wzniesiony z białej, delikatnie potarganej waty, zgrabny i wysmukły.

Materiał, z którego składał się ten taras, był tak powiewny i eteryczny, że nie mógłby utrzymać najmniejszego ciężaru. A jednak nad nim wznosiło się jeszcze sześć podobnych tarasów, z których każdy stanowił jak gdyby miednicę, do której wlewała się woda bezpośrednio z wyższego tarasu i zlewała się do niższego - cienkimi, strojnymi strumykami, mglistą, tęczową kurzawą wodną lub szerokimi tryskami!, tworzącymi cudowne, faliste welony.

Ten godny podziwu twór przylegał tak zgrabnie, tak migotliwie i błyszcząco do ciemnego głazu, jakby był suknią jakiejś istoty z zaświatów. Jednak tę suknię utkały te same ręce, które najeżyły groźnie czarne, bazaltowe wieżycy i wydzwignęły z łona ziemi wulkany roztopionego szlamu.

Trzeba było tylko spojrzeć na wierzchołek zadziwiającej piramidy, aby zdać sobie sprawę z dziejów jej powstania. Tryskał tam wysoki strumień wody, który w górze rozlatywał się tęczowo i spadał barwną ulewą. Słychać było przy tym ten poszum, którego Moh-aw poprzednio nie mógł zrozumieć. Za poszumem szły gwizdzące, syczące, jęczące pary i zdawało się, że ziemia pęknie od ich naporu.

To właśnie wody gejzeru zbudowały tę wspaniałą piramidę. Delikatne, lekkie okruchy, które woda unosiła w górę, spadając osiadały i wciąż jeszcze zasilały dzieło zdobienia. Gorące strumienie spadały z jednego tarasu na drugi i chłodząc się powoli, tworzyły baseny o coraz niższej temperaturze. Na dole wreszcie krystaliczny płyn przelewał się przez brzegi basenu i wpadał następnie do rzeki Kraterów.

Jak diabeł przy aniele, stał przy tej pięknej piramidzie ciemny, obszerny, prawie okrągły twór o niechlujnym wyglądzie. Stanowił wał z mocnej masy, wał, na którym wznosiły się najrozmaitsze kształty szczątków wulkanicznych. Wyglądało to tak jakby jakieś dziecko z rodu olbrzymów bawiło się głazami bazaltu i wyłamywało je w najdziwniejsze formy, aby przymocować do okrągłego wału.

Średnica tego wału wynosiła dwadzieścia metrów i stanowiła naturalne obramowanie otworu, którego ziejąca ciemna paszcza nie obiecywała nic dobrego.

To był krater wulkanu. Zwążając się do wewnątrz, nagle na pewnej głębokości się rozszerzał. Oglądany z góry miał kształt dwóch lejków połączonych ostrymi końcami.

Gdy zaczynał szumieć i szemrać bajeczny gejzer, podnosiła się również lawa w pobliskim ciemnym kraterze. A kiedy na górze strumień wody rozpryskiwał się i opadał, zaczynała także spadać roztopiona lawa, unaoczniając podziemny związek między gejzerem a wulkanem. Tak to duchy podziemne rozdzielały gorące masy, wypełniając krystaliczną wodą gejzer, a odcedzone resztki wyrzucając przez krater, - To P'a-wakon-tonka - Diabla Woda - rzekł Old Shatterhand wskazując na krater.

W pobliżu brzegu krateru obozowali Ogallalla. Wyraźnie ich było widać. Można było nawet odróżnić poszczególne twarze. Konie biegały dokoła lub leżały na ziemi pozbawionej trawy.

Niedaleko leżały r-etnarowe głazy. Na nich siedzieli jeńcy, każdy na osobnym. Związano im ręce na plecach, a nogi przywiązano lassami do głazów, co sprawiało im dotkliwe cierpienia.

W chwili, gdy Old Shatterhand skierował uwagę na Siuksów Ogallalla, zauważył, że zaczęli się skupiać wokół wodza, który siedział pośrodku.

Old Shatterhand widział Grubego Jemmy'ego, Długiego Davy'ego Marcina, Hobbie-Franka i sześciu pozostałych. Wohkadeh był przywiązany do bardziej oddalonego kamienia, w położeniu szczególnie męczącym. Do niego właśnie podszedł jakiś Siuks, odwiązując go i przyprowadził przed zgromadzenie wojowników.

Chcą go przesłuchać —• rzekł Old Shatterhand. Być może zamierzają go od razu ukarać. Ach, jak bym chciał usłyszeć ich rozmowę!

Wyjął lunetę z torby i skierował ją na Siuksów. Teraz rozwiązano także Marcina Baumanna i postawiono obok Wohkadeha. Old Shatterhand widział dokładnie twarze, a nawet drżenie warg.

Wódz przemawiał do Marcina wskazując ręką na krater. Old Shatterhand zauważył, że Marcin śmiertelnie zbladł. W tym samym czasie rozległ się przeraźliwy krzyk, jaki wydostaje się z ludzkiego gardła tylko w chwilach największego przerażenia. To krzyknął jeden z jeńców, ojciec Marcina. Old Shatterhand widział, jak niedźwiedziarz ze wszystkich sił szarpie więzami. Słowa wodza musiały być bardzo okrutne...

Siuksowie Ogallalla przybyli dopiero poprzedniego dnia na wyżyny rzeki Gejzeru. Wojownicy sądzili, że Ciężki Mokasyn zdecyduje się na postój pod drzewami lasu, ale stało się inaczej. Mimo ciemności i uciążliwej drogi wódz postanowił przepłynąć się przez rzekę.

Znał teren. Był tu już wielokrotnie i w jego mózgu narodziła się myśl mroczniejsza i posępniejsza od samego krateru, co w mroku nocy wznosił i opuszczał swoją roztopioną magmę.

Idąc na czele i prowadząc konia za uzdę, pokazywał swoim drogę.

Jeńcy także musieli zjechać na dół, co nastęczało wielkich trudności.

ponieważ wódz nie pozwolił ich odwiązać od wierzchowców. Wreszcie oddział dotarł do brzegu. W tym miejscu rzeka nie była gorąca, tylko ciepła. Można było się przepłynąć bez trudności. Dwóch Siuksów otaczało konia każdego jeńca.

Siuksowie i jeńcy zatrzymali się przy kraterze. Jeńców przywiązano do głazów i rozstawiono strażników. Potem wojownicy ułożyli się do snu nie wiedząc czemu wódz wybrał miejsce tak cuchnące, pozbawione trawy i wody dla rumaków.

O świcie zaprowadzono konie do wodopoju, znanego wódzowi. Po powrocie Siuksowie zjedli posiłek, na który składała się bawole mięso.

Ciężki Mokasyn półgłosem wyjaśnił swoim ludziom co postanowił w sprawie Wohkadeha i młodego Baumanna. Powszechnie już uważano Wohkadeha za zdrajcę.

Ostatni Mandana przyznał się wprawdzie do winy, ale sprawa jego była stracona. Wcale Siuksów nie wzruszał fakt, że niewinnego Marcina miał spotkać taki sam los co Wohkadeha.

Wszyscy jeńcy byli skazani na śmierć, a więc im większa będzie jej różnorodność - tym większa radość dla patrzących.

Najpierw trzeba napawać się torturą, którą sprawia oznajmienie wyroku. W tym celu utworzono koło i na początek przyprowadzono Wohkadoha. Mówiono głośno, aby słyszeli także inni jeńcy, rozumiejący narzecze Siuksów.

- Czy Wohkadeh się rozmyślił? Czy nadal będzie się wypierał, czy też wyzna wszystko? zapytał wódz.

- Wohkadeh nie zrobił nic złego i dlatego nie może nic wyznać odparł zapytany.

- Wohkadeh kłamie! Gdyby wyznał prawdę, wyrok na niego byłby łagodniejszy.

- Mój los będzie jednakowy, czy jestem winny, czy też nie. Muszę umrzeć.

- Wohkadeh jest młody. Młodość miewa krótkie myśli. Nie wie, co czyni. Jesteśmy gotowi uwzględnić twoją młodość. Ale kto zbłądził, ten musi być szczerzy!

- Nie mam nic do powiedzenia!

Wódz uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

- Wohkadeh jest tchórzem. Boi się. Ma dosyć odwagi, aby źle czynić, ale nie dość, aby się przyznać. Wohkadeh, mimo młodości, jest starą babą, która wyje wniebogłosy, kiedy ukąsi ją mucha!

Dla Indianina miano tchórze jest największą zniewagą, którą natychmiast trzeba odeprzeć dowodami męstwa. Przywykły od dzieciństwa do wysiłków, niedostatków i wszelkich cierpień, Indianin nie zwraca uwagi na niebezpieczeństwo śmierci. Jest bowiem przekonany, że zaraz po śmierci dostanie się do Wiecznych Ostępów. Ledwo więc wódz rzucił obolec, Wohkadeh odezwał się:

- Zabiłem białego bawołu! O tym wiedzą wszyscy Siuksowie Ogallalla!

- Ale nikt nic był przy tym! Przyniosłeś skórę, to jedyne, co wiemy.

Po prostu biały bawół zdechł na prerii. Wohkadeh znalazł go, zdjął skórę, mówiąc, że własnoręcznie zabił bawołu.

- Oszczerstwo! Zdechły bawół nie leży na prerii. Pożerają go sępy i kojoty!

- A właśnie tym kojotem ty jesteś!

- Uff ryknął Wohkadeh szarpiąc więzy. - Gdybym nie był skrupowany, pokazałbym, kto jest kojotem, ja czy ty!

- Już pokazałeś. Jesteś tchórzem, gdyż boisz się wyznać prawdę.

- Nie wypierałem się ze strachu, ale przez wzgląd na towarzyszy.

- Uff! A więc przyznajesz się do winy? Opowiedz wszystko!

- Mogę opowiedzieć w krótkich słowach. Udałem się do wigwamu niedźwiedziarza, aby zawiadomić przyjaciół o nieszczęściu. Następnie wyruszyliśmy, aby uwolnić niedźwiedziarza.

- Kto?

- My pięciu. Syn niedźwiedziarza, Jemmy, Davy, Frank i Wohkadeh.

- A Wohkadeh bardzo polubił białych?

- Tak. Każdy z tych białych jest więcej wart niż stu Ogallalla.

Wódz potoczył wzrokiem po wojownikach, z radością stwierdzając wrażenie, jakie wywarły na nich ostatnie słowa Wohkadeha. Po czym zapytał:

- Czy wiesz, co cię spotka za te słowa?

- Tak. Zabijecie mnie!

- Tysiącem tortur!

- Nie boję się niczego.

- Zaczną się już teraz. Przyprawdźcie syna niedźwiedziarza!

Old Shatterhand widział jak przyprawdżono Marcina i postawiono go obok Wohkadeha.

- Czy słyszałeś i rozumiałeś co powiedział Wohkadeh? - zapytał wódz.

Tak.

- Sprowadził was, żebyście uwolnili jeńców. Pięć myszy wyruszyło, aby pożreć pięćdziesięciu niedźwiedzi. Szaleństwo odebrało wam rozum!

- Uważacie się za niedźwiedzi? - zawołał Marcin. - Jesteście tchórzliwymi sępami, które chowają się wśród skał!

- Pożałujesz tych słów! Obaj umrzecie, i to natychmiast!

Oglądał ich badawczo, aby wyczytać wrażenie z twarzy. Wohkadeh zachowywał się tak, jak gdyby tych słów nie usłyszał, natomiast Marcin, chociaż ze wszystkich sił starał się nie okazać trwogi, zbladł.

- Ciężki Mokasyn widzi, że jesteście serdecznymi przyjaciółmi - rzekł szyderczo wódz. Pozwoli więc wam umrzeć razem. Wspólnie zakosztujecie słodczy powolnej śmierci. Ponieważ wasza przyjaźń jest naprawdę wyjątkowa, więc w sposób równie wyjątkowy wejdziecie do Wiecznych Ostępów.

Podniósł się, wyszedł z koła i stanął przy kraterze.

- Oto wasz grób! - rzekł. - Niebawem was przyjmie!

Wskazał na otchłań, z której wydzielały się cuchnące opary.

Wszyscy pojęli w jaki sposób mieli zginąć obaj młodzieńcy.

Ojciec Marcina krzyknął tak przeraźliwie, że Old Shatterhand i jego towarzysze usłyszeli ten rozpaczliwy krzyk. Od pierwszej chwili niewoli nie zdradził się ani słowem, ani gestem, jak nieszczęśliwy się czuje.

Duma wiązała mu usta. Teraz jednak, słysząc co grozi jego synowi, stracił panowanie nad sobą.

- Nie, tylko nie to! - krzyknął. - Wrzucie mnie do krateru, mnie, ale nie jego, nie jego!

- Milcz! huknął wódz. - Wyłbyś z przerażenia, gdybyś dostał takiej śmierci!

- Nie, nie usłyszałbyś ani dźwięku, ani jednego!

- Już teraz będziesz wył, kiedy opiszę ci tę śmierć. Czy sądzisz, że twojego syna i tego zdrajcę stracimy po prostu w otchłani krateru? Mylisz się bardzo! Magma wznosi się i opada w równych odstępach czasu.

Zwiążemy zdrajcę i twojego syna lassami i spuścimy do krateru tak głęboko, aby magma dochodziła im tylko do stóp. Podczas przepływu magma dosięgnie kolan. Będą się pogrążyć coraz głębiej i ich ciała będą się gotować od dołu w roztopionej magmie. Czy jeszcze teraz pragniesz ponieść śmierć przeznaczoną dla syna?

- Tak, tak! odpowiedział Baumann. Wrzucie mnie zamiast jego!

- Nie! Ty skończysz razem z innymi nad grobem wodza przy palu męczeńskim. A tymczasem przyjrzyj się torturom syna!

- Marcinie, Marcinie, synu mój! krzyknął zrozpaczony niedźwiedziarz.

- Ojczy, ojczy! zawołał Marcin z trwogą.

- Milcz! - rzekł Wokadeh. - Umrzemy nie ciesząc tych psów wyrazem bólu na naszych twarzach.

Baumann szarpnął więzami, z tym jedynie skutkiem, że jeszcze głębiej wpiły mu się w ciało.

- Czy słyszysz jak wyje i lamentuje? krzyknął wódz. - Milcz i raczej ciesz się, bo zobaczysz wszystko dokładniej niż my. Odwiążcie jeńców od gładów i przywiążcie ich do koni, aby siedzieli wysoko i mogli się lepiej przyglądać! A obu chłopców skrupujcie dobrze i zanieście do otchłani zagłady!

Rozkaz wykonano natychmiast. Wielu Siuksów Ogallalla otoczyło Wokadeha i Marcina, aby ich zanieść do krateru. Pozostałych jeńców wsadzono na konie.

Baumann zacisnął zęby, by nie krzyknąć z rozpacz.

- To straszne! - jęknął Davy zwracając się do przyjaciela. - Na pewno nadejdzie pomoc, ale za późno dla obu odważnych chłopców. My dwaj ponosimy winę za ich śmierć. Nie powinniśmy zgodzić się na tę wyprawę!

- Masz słuszość i... posłuchaj!

Rozległ się krzyk sępa. Ogallalla nie zwrócili na niego uwagi.

- To znak Old Shatterhanda! - szepnął Jemmy. - Mówił o tym i pokazał jak naśladuje krzyk sępa.

- Boże Wielki! Oby tak było naprawdę!

- Oby Bóg dał, abym miał rację. Jeśli trafnie przypuszczam, Old Shatterhand pojechał w ślad za nami... Spójrz na skraj lasu! Czy nic nie widzisz?

- Tak, tak! potwierdził Davy. Jedno drzewo się porusza. Widzę, jak się trzęsie korona! Nie ma wiatru, a więc tam są ludzie!

- Teraz i ja widzę. Ale nie przyglądaj się, aby Ogallalla nie zaczęli czegoś podejrzewać!

I zawołał głośno po niemiecku w kierunku krateru:

- Nie upadaj na duchu, Marcinie! Pomoc jest blisko! Dopiero co nasi przyjaciele dali znak!

Nie wymienił imienia, aby Ogallalla nie zrozumieli.

- Czemu wyje ten pies! złościł się wódz. Czy również ma ochotę ugotować się w magmie?

Jednak na szczęście skończyło się na pogróżce.

Jeńcy byli tak blisko siebie, że mogli porozumiewać się szeptem Związano im ręce na plecach. Nogi skrepowano rzemieniami przeciąg niętymi pod brzuchami wierzchowców.

- Ty, Davy! - szepnął Jemmy. - Nasze konie nie są trzymane za cugle, jesteśmy więc na pół wolni. Czy mógłbyś, mimo pęt, zmusić do posłuszeństwa swego starego muła?

- Nie obawiaj się! Ścisnę go nogami z całej siły.

- Mój stary kłusak też będzie posłuszny. Stój!...O Boże! Pomoc przybywa zbyt późno... zbyt późno!

W tej bowiem chwili grunt pod nogami zaczął drżeć, z początku powoli, a potem coraz gwałtowniej i z głębi ziemi rozległy się dalekie grzmoty. Wulkan rozpoczął swą działalność.

Wprawdzie już poprzedniego wieczora konie przywykły do tego drżenia ziemi, ale ponieważ miały na sobie jeźdźców, więc zaniepokoiły się bardzo.

Wódz poprzednio pochylił się nad brzegiem otchłani i spuścił lasso, żeby zmierzyć jak głęboko należy umieścić obu skazańców. Potem przymocowano lassa do krawędzi krateru, a drugimi końcami związano Marcina i Wohkadeha w ten sposób, aby dokładnie sięgnęli wyznaczonej głębokości.

Indianie w momencie kiedy poczuli drżenie ziemi, czym prędzej się cofnęli. Przy kraterze pozostali tylko dwaj, aby spuścić obu jeńców, gdy tylko magma zacznie się podnosić. Były to chwile, denerwującego oczekiwania.

A Old Shatterhand? Czemu się nie zjawiał?

Westman w tej chwili z największym skupieniem patrzył na ruchy Siuksów Ogallalla. Kiedy zobaczył, jak przyprowadzono Wohkadeha i Marcina na brzeg otchłani, zrozumiał wszystko od razu.

- Zamierzają ich powoli spuścić do krateru! rzekł do Indian.

- Musimy natychmiast jechać z pomocą. Szybko! Jedźcie pod ukryciem drzew do miejsca, gdzie rzeka przepływa przez las. Ruszajcie stamtąd kłusem i dalej pędźcie galopem. Wyjcie potem na całe gardło i z całych sił wpadnijcie na Ogallalla.

- Czy ty z nami nie pojedziesz? zapytał olbrzymi wódz Upsaroków.

- Nie. Nie powinienem. Muszę zostać tutaj i uważać, aby przed waszym nadejściem nikomu z naszych nie stało się nic złego. Pędźcie szybko! Nie można marnować ani chwili!

- Uff! Naprzód!

Po chwili Szoszoni i Upsarokowie zniknęli. Czarny Bob został przy Old Shatterhandzie, który mu rozkazał:

- Chodź tu! Złap tę sosnę. Potrząśniemy!

Westman przyłożył rękę do ust i wydał sępi okrzyk, który usłyszeli jego przyjaciele i Długi Davy. Widział, jak spoglądają w górę, wiedział więc, że sygnał dotarł do celu.

- Po co potrząsać drzewem? - zapytał Bob.

- Trzeba dać im sygnał. Siuksowie zamierzają Wohkadeha i twojego młodego pana wrzucić do krateru. Leżą już obaj skrepowani na brzegu otchłani.

Murzyn ze strachu wypuścił strzelbę.

- O, o, chceć pana Marcina zabić? To nie być, to nie może być! Pan Bob nie pozwolić! Pan Bob wszystkich zabić, wszystkich! Bob wprost pędzić! - i pobiegł co tchu w piersiach.

- Bob, Bob! - krzyknął Old Shatterhand. - Wróć, wróć! Wszystko popsujesz!

Ale Murzyn nie zwracał uwagi na wołanie westmana. Opanowała go bezmierna wściekłość. Zamierzano zabić jego młodego pana! Nie pomyślał nawet o tym, że wypadła mu z rąk strzelba, pragnął tylko jak najprędzej dostać się do Marcina. Jako dobry pływak wiedział, że aby wylądować na przeciwległym brzegu, należy się zanurzyć powyżej tego miejsca. Nie pobiegł więc wprost do wody, ale pomknął wśród drzew w górę rzeki i niebawem wyłonił się z lasu.

Do wody prowadziła ścieżka na stromej, czarnej, gładkiej skale. Bob usiadł i odważnie ześliznął się w pokrytą gęstą szumowiną wodę.

Uderzył o coś twardego. Była to gruba gałąź zahaczona o brzeg.

Oho! - ucieszył się Murzyn. Pan Bob nie mieć strzelby. Gałąź być maczuga!

Wyrwał gałąź z dna i zaczął ją szybko oczyszczać.

Ogallalla nie spostrzegłi odważnego Murzyna. Na czarnej skale trudno było dostrzec jego nie mniej czarne ciało. Tak samo w wodzie głowa Boba i jego ramiona nie bardzo się odróżniały od brudnej powierzchni. Ogallalla zresztą przyglądali się wyłącznie 'kraterowi.

Gdy zaczęło się podziemne drżenie i grzmoty, Old Shatterhand ujrzał swych indiańskich sojuszników mknących ku wodzie. Należało działać.

Postawił sztucer przy drzewie, za którym stał i przyłożył do ramienia dwururkową, ciężką, dalekonośną niedźwiedziówkę.

Ogallalla odsunęli się od krateru. Tylko dwóch, jak nadmieniliśmy, pozostało przy jeńcach.

Wódz podniósł rękę. Old Shatterhand nie usłyszał, czy wódz wydał rozkaz, gdyż podziemne poszumy stawały się coraz głośniejsze.

Ale wiedział dobrze, co pociągnie za sobą skinienie wodza - męczeńską śmierć Marcina i Wohkadeha.

Przyłożył strzelbę do policzka. Niedźwiedziówka dwukrotnie wypaliła. Ogallalla nie mogli usłyszeć huku wystrzału, bo zagłuszyły go piekielnie huczące i szybko następujące po sobie grzmoty.

- Spuścić ich! - ryknął wódz Ogallalla i podniósł rękę.

Dwaj Indianie, którzy mieli wykonać rozkaz, zbliżyli się o parę kroków do leżących na ziemi jeńców. Ojciec Marcina wydał okrzyk trwogi, który głucho przebrzmiał w straszliwym zgiełku.

Ale cóż to się nagle stało? Obaj kaci nie tylko się pochyłili, aby podnieść jeńców, ale runęli przy nich i pozostali nieruchomo na miejscu.

Wódz ryknął coś, czego nie sposób było dosłyszeć, gdyż woda i para z poświstem wrywały się z gejzeru, a z głębin krateru zaczęły się rozlegać głuchoe odgłosy, podobne armatnim wystrzałom.

Ciężki Mokasyn dobiegł do brzegu wulkanu, pochylił się nad swoimi ludźmi i uderzył ich pięścią. Nawet nie drgnęli. Chwycił jednego z nich za ramiona i unióś do połowy. Zobaczył w głowie Indianina ślad po kuli.

Przerażony opuścił wojownika i podniósł się czym prędzej. Twarz wodza wykrzywił grymas trwogi.

Ogallalla nie mogli pojąć zachowania się Ciężkiego Mokasyna i obu wojowników. Zbliżyli się do nich, niektórzy pochyłili się nad zabitymi i natychmiast cofnęli ze zgrozą.

A do tego przyłączyło się coś jeszcze okropniejszego. Syk i świst gejzeru umilkł już prawie zupełnie i przestał zagłuszać inne dźwięki.

Z rzeki natomiast rozległ się teraz wyraźnie wściekły ryk. Oczy wszystkich Ogallalla zwróciły się w tym kierunku i zobaczyły czarną, olbrzymią postać potrząsającą wielką, mocną gałęzią. Z tej niesamowitej postaci kapała brudna, zielonożółta szumowina. Oplatały ją splecione wodorosty i na pół zgniłe sitowie.

Dzielny Murzyn, który musiał się przedrzeć przez prawdziwą płataninę roślinności, nie zadał sobie trudu pozbycia się tej ozdoby. Wyglądał więc jak pozaziemskie, fantastyczne stworzenie. Jeśli dodamy do tego jego ryki, wywracające się gałki oczne, jego potężne, błyszczące uzębienie - to chyba trudno się dziwić, że Ogallalla w pierwszej chwili zdrętwieli z przerażenia. W następnej chwili Bob wpadł na nich, rycząc i wywijając maczugą jak prawdziwy Herkules. Cofali się przed tym groźnym zjawiskiem. A Murzyn przebił się przez gromadę i wpadł na wodza.

- Pan Marcin! Gdzie być dobry, miły pan Marcin? zawołał. Tu pan Bob, tu, tu! Zniszczyć wszystkich Siuksów Ogallalla! Zmiażdżyć wszystkich dużo Ogallalla!

Hura! To Bob! krzyknął Davy. - Zwycięstwo! Hura, hura!

Tymczasem rozległo się wielogłose wycie, okrzyk wojenny Indian.

Polegał on na przeraźliwym, ogłuszającym dźwięku "liiiiiiiiiih!" przy jednoczesnym trelowaniu i uderzaniu się po wargach.

Ten dobrze znany i zapowiadający niebezpieczeństwo okrzyk wyrwał Ogallalla z odrętwienia. Niektórzy zerwali się z miejsc i skoczyli do rzeki, skąd rozległo się wycie. Ujrzeni Upsaroków i Szoszonów pędzących jak wichur. Ogallalla potracili głowy. Nie zdołali nawet policzyć wrogów. Niepojęta śmierć obu wojowników, nagłe zjawienie się czarnego szatana wywijającego maczugą i teraz znów galop wrogich Indian to wszystko wystarczająco wystraszyło Siuksów Ogallalla.

Uciekać, uciekać! Ratuj się kto może! - wrzeszczeli i rzucili się do rumaków.

Jemmy ścisnął kolanami swego starego kłusaka.

- Uwolnijcie się! Prędko na spotkanie zbawców! - zawołał głośno.

I już jego długonożny kłusak pędził, a za nim galopował muł z Długim Davy'm. Rumak Franka, bez najmniejszej zachęty ze strony jeźdźca, pomknął również co koń wyskoczy. Trzęsienie ziemi, postać Boba, ryki wojenne podnieciły wierzchowce do takiego stopnia, że żaden Siuks nie mógł ich zatrzymać.

Czy naprawdę żaden? A jednak znalazł się taki - był nim wódz Hong-peh-te-keh. Otrzymał od Boba tak potężny cios, że zwałił się na ziemię.

Na jego szczęście Murzyn nie obdzielił go drugim o podobnej sile, bo byłoby to już śmiertelne uderzenie. Ujrzawszy bowiem swego pana na ziemi, ukląkł nad nim i zapominając o całym świecie, zajął się dzielnym chłopcem.

- Mój dobry, dobry pan Marcin! - wołał wierny Murzyn. - Tu być mężny pan Bob! Szybko odciąć rzemienie pana Marcina!

Wódz podniósł się i wyciągnął nóż, aby zabić Murzyna, ale w tym momencie usłyszał wycie wrogów. Zobaczył, że jego wojownicy beładnie rzucili się do ucieczki, a jeńcy korzystając z zamieszania ruszyli w kierunku nadchodzącej odsieczy.

Zrozumiał, że on także będzie zmuszony uciec. Czy teraz ma się wyrzec wszystkiego? O, nie. W jednej chwili Ciężki Mokasyn znalazł się w siodle. Co za szczęście, że jego wojownicy przymocowali strzelby do siodła! Skierował się ku niedźwiedziarzowi, którego rumak stanął dęba.

Szybko złapał konia za cugle, krzyknął przeraźliwie, aby rozpedzić swego rumaka i pomknął wzdłuż wybrzeża pociągając za sobą wierzchowca, a na nim związanego niedźwiedziarza.

Ogallalla byli przekonani, że wybrzeże w górnej części jest wolne.

Jeżeli uda się dotrzeć do grobowca wodza, to będą mieli naturalną osłonę nawet wobec wielokrotnie silniejszego wroga. Wkrótce się przekonali, że są w błędzie...

A poprzedniego dnia rano Old Shatterhand prosił Winnetou, aby z resztą wojowników pojechał do Paszczy Piekła i tam go oczekiwał.

Wódz Apaczów opuścił obóz zaraz po wyjeździe Old Shatterhanda.

Pędził tak szybko, że już późnym popołudniem dotarł do zachodniego podnóża Gór Kraterów; W górę prowadziła dolina, tym ciaśniejsza, im bardziej się stromo wznosiła. Przecinał ją potok rwący na dół. Po wejściu na górę, wojownicy znaleźli się w dzikim lesie, w którym jeszcze nie powstała ludzka noga.

Okazało się, że Apacz znał dokładnie drogę. Jechał bezpiecznie, jak gdyby miał przed sobą utorowaną ścieżkę biegnącą między drzewami, najpierw ostro pod górę, potem równo, a wreszcie, po drugiej stronie, pośród rozrzuconych olbrzymich głazów, ku dolinie.

Nagle przed oddziałem rozległ się straszliwy łoskot, przypominający dynamitowy wybuch. Potem dobiegł jakby huk armatni, następnie zabrzmiała nieprzerwana salwa, która zmieniła się w trzask, syk, gwizd, świst, jak gdyby zapalono olbrzymie race.

- Uff! - zawołał Mężny Bawół. —Co to?

- To jest K'un-tui-temba, Paszcza Piekła - odpowiedział Winnetou.

- Mój brat usłyszał głos Paszczy. Zaraz zacznijcie pluć.

Przejechał tylko kilka kroków, osadził rumaka i zwrócił się do swoich wojowników:

- Moi bracia mogą się zbliżyć. Tam na dole otworzyła się Paszcza Piekła.

- Indianie stali pod skalną ścianą, która spadała pionowo w dół na kilkaset stóp. Na dole biegła dolina rzeki Kraterów. Wprost przed nimi, z drugiej strony, bił z ziemi wysoki na pięćdziesiąt stóp słup wody o siedmiometrowej średnicy. Na górze słup ten tworzył kulisty grzyb, z którego strzelały ku niebu trzystumetrowe potoki. Woda była gorąca, gdyż masa na pół przezrystej lawy otaczała gigantyczny nurt.

Za tym groźnym cudem natury ściana brzegowa cofała się i tworzyła głęboką kotlinę, na której brzegu odpoczywało zachodzące słońce.

Promienie padały na słup wody, który lśnił przepięknymi kolorami.

Gdyby widzowie przyglądali się z innej strony, zobaczyliby setki wspaniałych tęcz.

- Uff, uff! - zawołali prawie wszyscy Indianie.

Wódz Szoszonów zwrócił się do Winnetou:

- Czemu mój brat nazywa to miejsce K'un-tui-temba, Paszczą Piekła? Czy nie powinna się raczej nazywać Tab-tui-temba, Usta Niebios? Oihka-petay nigdy jeszcze nie widział nic równie wspaniałego!

- Mój brat nie powinien ufać pozorom. Złe często wydaje się pięknym, ale człowiek mądry patrzy do końca.

Oczy zachwyconych Indian spoczywały jeszcze na wspaniałym obrazie, gdy nagle rozległ się grzmot i w jednej chwili widowisko uległo zmianie. Słup wody runął. Przez kilka sekund panowała cisza, nagle usłyszano głuchy, grzmiący odgłos, po czym otwór począł zionąć brązowożółtym? pierścieniami pary, które buchały coraz szybciej z dojmującym świstem. Pojedyncze pierścienie skupiły się w słup dymu.

Teraz wytrysnęła ciemna masa lawy, sięgając tak wysoko, jak poprzednio strumień i rozsiewając nieprzyjemny odór. Wraz z lawą strzeliły w górę poszczególne głązy z głuchym, wściekłym hukiem, wydawało się, że ryczą drapieżniki w menażerii. Eksplozja następowała z przerwami, podczas których z otworów rozbrzmiewały pojękiwania i świsty, które przywodziły na myśl jęczące dusze potępieńców.

- Kats-angwa! - To okropne! - zawołał Mężny Bawół.

- No - zapytał z uśmiechem Winnetou - - czy mój brat i teraz nazwie ten otwór Ustami Niebios?

- O, nie! Oby wszyscy nasi wrogowie byli pogrzebani na dole! Czy nie lepiej opuścić to straszne miejsce?

- Tak, ale właśnie nad Paszczą Piekła rozbijemy obóz.

- Uff! Czy tak dyktuje konieczność? Zapach jest okropny.

- Prawda. Lecz paszcza wyła dziś już ostatni raz. Nie zatruje więc nosów Szoszonów.

Apacz zaprowadził swoich towarzyszy wzdłuż zbocza do miejsca, które mogło nadawać się na obozowisko. Całą ścianę skalną wchłonał przed wiekami krater; miękka ziemia obsunęła się i utworzyła nasyp pokryty gęsto zgniłym na pół drzewem i pojedynczymi skałami.

Góra była stroma i nie wydawała się niebezpieczna.

- Czy mój brat chce zejść na dół? - zapytał Oihka-petay Apacza.

- Tak. Nie ma innej drogi.

- Czy grunt nie jest bagnisty? Możemy w nim utknąć.

- To może się łatwo zdarzyć, jeśli nie będziemy ostrożni. Winnetou, kiedy był tutaj kiedyś z Old Shatterhandem, dokładnie zbadał te tereny.

Gdźieniedzie skorupa ziemi jest dość cienka, nie przekracza szerokości dłoni. Ale Winnetou pojedzie na czele. Jego rumak jest mądry i ominie niebezpieczne miejsca. Niechaj moi bracia jadą za mną.

' Skierował konia do brzegu i pozwolił mu zejść na dół. Indianie z ociąganiem poszli za jego przykładem. Gdy zobaczyli, że koń Winnetou ostrożnie badał kopytem miejsce zanim postąpił krok naprzód, zdali się całkowicie na kierownictwo Apacza.

- Niech moi bracia jadą gęsiego - rozkazał - aby ziemia nie dźwigała zbyt wielkiego ciężaru. Gdy koń zacznie się zapadać jeździec powinien natychmiast ściągnąć go cuglami i cofnąć.

Na szczęście obyło się bez wypadku. Udało się ominąć miejsca bardzo niebezpieczne i wreszcie jeźdźcy dotarli do rzeki. Woda była nagrzana; powierzchnia połyskiwała niebiesko i zielono jak oliwa, podczas gdy nieco dalej przezroczyste i jasne fale uderzały o brzegi. Tu właśnie przepawiono się bez trudu przez rzekę. Następnie Winnetou skierował się ku Paszczy Piekła.

Jeźdźcy ostrożnie dojechali do brzegu wulkanu. Zajrzeli do czterdziestometrowej głębi, w której było cicho i spokojnie. Lecz rozrzucone dokoła kawałki zastygłej lawy świadczyły, że przed kilkoma minutami działały podziemne siły.

Teraz Winnetou wskazał na kotlinę i rzekł:

- Tam wznosi się grobowiec wodza Siuksów Ogallalla, którego pokonał Old Shatterhand. Niechaj moi bracia jadą za mną!

Kotlina miała kształt koła o średnicy około pół mili angielskiej.

Przyległe ściany były tak strome, że nie sposób było na nie wejść.

Pośrodku kotliny wznosił się pagórek z kamieni pokryty skamieniałą magmą, która tworzyła twardą i suchą masę. Był wysoki na cztery i długi na siedem metrów. W wierzchołku tkwiły łuki i oszczepy. Pagórek zdobiły emblematy wojenne i żałobne, mocno już wystrzępione.

- Tutaj - rzekł Winnetou - spoczywa Zły Ogień, najsilniejszy wojownik Ogallalla i dwaj wojownicy, których pokonała pięść Old Shatterhanda. Siedzą na swych rumakach, z bronią na kolanach, z tarczą w lewej i tomahawkiem w prawej ręce. A tam na górze znajdował się Old Shatterhand zanim rozpoczęła się walka, w której zranił Ogallalla jednego po drugim. Nie chciał ich zabijać, a Siuksowie nie mogli dosięgnąć myśliwego swoimi kulami, bo ochraniał go Wielki Duch białych.

Mówiąc to wskazał na prawo, ku skale, gdzie na wysokości piętnastu metrów nad Paszczą Piekła wznosił się wyskok najeżony wielkimi głazami, wysokości dorosłego człowieka. Stąd aż do dołu biegł szereg podobnych, ale o wiele mniejszych stopni, po których można było, choć z trudem, wdrapać się na górę. Ale jak potrafił to zrobić Old Shatterhand nie schodząc z konia, w jaki sposób tego dokonał to naprawdę nie wiadomo.

Mężny Bawół powoli objechał grobowiec i zapytał Winnetou:

- Jak myśli mój brat, kiedy Siuksowie Ogallalla przybędą nad rzekę Kraterów?

- Możliwe, że dzisiaj wieczorem.

- A więc niech znajdą splądrowany grobowiec swojego wodza i obu wojowników. Niech wiatr rozruci ich prochy na wszystkie strony, a kości niech znikną w otchłani, aby dusze musiały tam w głębi lamentować wraz z K'un-p'a, wraz z Wyklętym przez Wielkiego Ducha.

Weźcie tomahawki i rozsypcie pagórek!

Zeskoczył z konia i gotowy do czynu, chwycił za topór.

- Stój! - zatrzymał go Winnetou. - Old Shatterhand zostawił pokonanym skalpy, a nawet sam pomagał wnieść grobowiec! Odważny wojownik nie walczy z kośćmi umarłych. Wielki Duch pragnie, aby umarli spoczywali w pokoju, a Winnetou ochroni grób. Howgh!

Zawrócił konia i nie oglądając się wrócił nad Paszczę.

Żaden przyjaciel nie przemówił dotąd w taki sposób do Oihtka-petaya, a jednak wódz nie odważył się przeciwstawić Winnetou.

Mruknął tylko: „Ugh!” i pojechał za Apaczem. Zdecydowana postawa Apacza nadała jego słowom ton rozkazu.

Zapadał wieczór, kiedy Apacz zatrzymał konia i zsiadł z niego. Zimne źródło biło ze skały i wpadało do rzeki. Pomijając źródło, miejsce nie nadawało się na obóz. Wodzem Apaczów musiały kierować szczególne, ukryte powody. Przytwierdził uzdę do kółka, podłożył derkę pod głowę i wyciągnął się w pobliżu skały. Szoszoni poszli za jego przykładem.

Niektórzy siedzieli obok siebie i cicho rozmawiali. Oihtka-petay nie pamiętając o niedawnej urazie, położył się przy Winnetou. Ściemniło się zupełnie. Upłynęło wiele godzin. Zdawało się, że Apacz śpi smacznie - ale nagle zerwał się na równe nogi i rzekł do Oihtka-petaya:

- Moi bracia mogą leżeć spokojnie. Winnetou wyruszy na zwiady.

Po chwili znikł w mroku nocy. Szoszoni postanowili czuwać do jego powrotu.

Była północ, kiedy wrócił. Zameldował:

- Hong-pe-teh-keh, Ciężki Mokasyn, obozuje ze swoimi ludźmi nad Wodą Diabła. Ma przy sobie niedźwiedziarza oraz jego pięciu towarzyszy, a także waszych braci, którzy opuścili nas w nocy. Old Shatterhand zapewne czuwa w pobliżu. Moi bracia mogą spać. Winnetou wraz z Oihtka-petayem o świcie podkradną się jeszcze raz nad Wodę Diabła.

Howgh/ Ledwie zaczął szarzeć świt, Winnetou obudził wodza Szoszonów. Szli ostrożnie, bez szmeru. Od Paszczy Piekła do Wody Diabła droga wynosiła zapewne milę angielską. Rzeka w pobliżu obozu wroga tworzyła zakręt. Stojąc tam za skałą obaj wodzowie mogli obserwować Siuksów, którzy sprowadzili konie, po czym zabrali się do śniadania.

Winnetou spojrzał na wyżynę prawego wybrzeża, skąd powinien był nadejść jego biały brat.

- Uff! - rzekł. - Jest już Old Shatterhand.

- Gdzie? - zapytał Oihtka-petay.

- Tam na górze.

- Nie można go dojrzeć. Tam rośnie gęsty las.

- Tak, ale czy mój brat nie widzi wron, które fruują nad drzewami?

Zakłócono ich spokój. Old Shatterhand cofnie się i przeprawi przez rzekę w niewidocznym miejscu. Potem napadnie na wrogów i skieruje ich do brzegu rzeki. W tym samym czasie musimy stać przy Paszczy Piekła, aby Siuksom odciąć drogę i zapędzić ich do kotliny Grobowca Wodza. Niech mój brat się śpieszy, bo nie mamy wiele czasu.

Wrócili do swoich wojowników, dali im odpowiednie wskazówki i przygotowali się do walki.

Niebawem z podziemi rozległ się głuchy huk.

- Woda Diabła podnosi swój głos - oświadczył Winnetou.

- Wkrótce zacznie pluć Paszcza Piekła. Cofnijmy się, aby nas nie trafiła.

Wiedział, że kratery łączą się pod ziemią, a więc wycofał swoich wojowników o kilkanaście metrów do tyłu. Wybuch nie trwał długo, gdy odgłosy jego umilkły, posłyszeli okrzyk wojenny trzydziestu Szoszonów i Upsaroków, którzy w owej chwili wpadli na Siuksów Ogallalla.

Nastąpiło to, co przewidział Winnetou. Paszcza Piekła zaczęła swoją działalność, tak samo jak wieczorem poprzedniego dnia. Z grzotem i rykiem wzniosł się słup wody i strzelał na wszystkie strony strumieniami. Ten wodospad był dla Winnetou i jego wojowników wspaniałą zasłoną, ukrył ich bowiem przed oczami uciekających Siuksów. Apacz skierował konia na bok, aby ogarnąć wzrokiem sytuację. Widział, jak nadjeżdżają rozsypani Ogallalla, beładnie pędzeni strachem.

- Nadchodzą! - zawołał. - Gdy dam znak, wyrwiemy się spoza plującej Paszczy Piekła i nie przepuścimy ich między Paszczą a rzeką.

Będą musieli zboczyć na lewo do doliny Grobowca. Jednak nie strzelajcie! Przerazenie zapędzi ich tam gdzie trzeba!

Pierwsi Siuksowie Ogallalla byli już zupełnie blisko. Chcieli pędzić przed siebie wzdłuż rzeki, ale nagle Winnetou ukazał się spoza słupa wody. Jego „liiiiiii!” przeszło przeraźliwie powietrze. Szoszoni wtórowali. Uciekinierzy, widząc, że droga została zagrodzona, wykonali ćwierć obrotu i pomknęli ku kotlinie.

Za uciekającymi Siuksami ukazała się skupiona grupa wielu jeźdźców.

Był to pędzący w galopie tłum czerwonych i białych z wodzem Ogallalla, z niedźwiedziarzem i Hobbie-Frankiem pośrodku.

Jeńcy, przywiązani do rumaków, pomknęli na spotkanie swoich zbawców. Ale nagle posłyszeli krzyki. Wołał Marcin Baumann, Wohkadeh i Murzyn Bob; którzy zauważyli, że wódz pociągnął za sobą Baumanna. Frank usłyszał krzyki, odwrócił się i zobaczył w jakim niebezpieczeństwie znalazł się jego przyjaciel. Mimo więzów łydkami skierował konia ku Murzynowi.

- Tnij, Bobie! Szybko, szybko!

Bob rozciął pęta. Frank zeskoczył z konia, wyrwał tomahawk z ręki jednego z zastrzelonych przez Shatterhanda wrogów, szybko dosiadł rumaka i puścił się w pogoń za wodzem Ogallalla.

Bob był bez konia, Marcin i Wohkadeh natomiast mieli ciała tak obolałe od więzów, że nie mogli pośpieszyć z pomocą. Mogli tylko krzyczeć, zwracając uwagę Jemmy'ego. Gruby obejrzał się, po czym zawołał do swego długiego przyjaciela:

- Davy, trzeba wracać! Siuks porwał Baumanna!

Bob stał już przy nich i rozcinał rzemienie. Jemmy wyrwał mu nóż i pogalopował za Sasem. Za nim cwałował nieuzbrojony Davy. Teraz nadjechali Szoszoni i Upsarokowie. W tym samym czasie do brzegu dotarł Old Shatterhand, trzymając za uzdę konia Boba. Nikt w tym zamieszaniu nie zwracał na niego uwagi, natomiast on widział wszystko.

Masz swego konia i flintę, dzielny Bobie - zawołał wręczając Murzynowi cugle i broń. - Uwolnij resztę związanych. A potem śpiesz za nami!

Wybrzeże między Paszczą Piekła i Wodą Diabła wyglądało jak pole bitwy. Siuksowie Ogallalla, Upsarokowie, Szoszoni i biali krzyczeli wniebogłosey. Uciekinierzy ratowali się, każdy na własną rękę. Przyjaciele wymijali wrogów i przepuszczali ich, mając na celu tylko uwolnienie Baumanna.

Old Shatterhand stał wysoko w strzemionach, trzymając sztucer w rękę. Był na tyłach, ale jego koń galopował ledwie dotykając ziemi, więc niebawem doścignął Upsaroków i piętnastu Szoszonów.

- Powoli! - zawołał wymijając ich. - Pędźcie Siuksów! Tam jest Winnetou, który ich nie przepuści. Żaden nie powinien umknąć, ale nie wolno ich zabijać!

Westmani pędzili naprzód wymijając wrogów i przyjaciół. Rumak Shatterhanda mknął jak na skrzydłach. Trzeba było doścignąć wspomnianą grupę zanim nastąpi nieszczęście.

Koń małego Sasa nie był szlachetnym biegunem. Ale Frank ryczał tak przeraźliwie i tak poganiał rumaka ręką tomahawka, że rumak pędził jak szalony. Oczywiście, to nie mogło trwać długo.

Wreszcie udało się doścignąć wodza Siuksów Ogallalla. Sas przybliżył konia, podniósł tomahawk i krzyknął:

Szonka, ta ha na, deh peh! Psie, podejdz! Żle z tobą!

- Tsziga-szi-tsza-legh-tsza! - odparł szyderczo wódz - Nędzny karle, bij!

Zwrócił się do Franka i pięścią odparował uderzenie podbijając do góry rękę Sasa, z której od razu wypadła broń. Natępnie wyrwał nóż zza pasa, aby zabić byłego leśniczego.

- Frank, uważaj! - zawołał Jemmy rozpędzając konia.

- Nie bój się! odparł Frank. - Czerwonoskóry nie zabije mnie tak łatwo! Nie przestrzelił po raz drugi nóg uczciwego Sasa.

Cofnął swego rumaka o krok, aby wódz nie mógł trafić i śmiałym susem skoczył na konia Ciężkiego Mokasyna. Objął Siuksa, przycisnął mu ręce do ciała. Wódz ryknął z wściekłością. Usiłował uwolnić ręce, ale na próżno, gdyż Frank trzymał go z całej siły.

- Słusznie! - krzyknął Jemmy. - Nie puszczaj! Śpieszę z pomocą!

- Pośpiesz się troszeczkę! Ścisnąć takiego draba to nie drobnostka!

Wszystko odbyło się z błyskawiczną szybkością, szybciej niż można to opisać. Ogallalla trzymał w prawej ręce nóż, a w lewej cugle konia Baumanna. Szarpał się, wstawał w siodle - daremnie! Nie zdołał się wydostać z objęcia Franka. 'Baumann był związany i nie mógł nic zrobić, ale zachęcał Franka, aby mocno trzymał wroga. Dzielny Sas odpowiedział, choć sapał już z wysiłku:

- Dobrze! Obejmuję go jak wąż boa i nie puszczę póki mi płuca nie pękną!

Ogallalla nie mógł panować nad koniem, który biegł wolniej. Dzięki temu Jemmy, a potem i Davy zdołali go dopędzić. Grubas zbliżył się do Baumanna i nożem Boba przeciął mu więzy.

- Halloo, górą nasi! - krzyknął. - Niech pan wyrwie cugle z ręki Ciężkiemu Mokasynowi!

Baumann zamierzał to zrobić, ale nie starczyło mu siły. Jemmy próbował podać mu nóż, ale nie mógł, gdyż Siuksowie zauważyli, w jakiej sytuacji znalazł się wódz. Dwaj Ogallalla natarli teraz ze wściekłością na grubasa, a trzeci zamierzył się na Franka. Widząc to Davy uderzył konia między uszy. Wierzchowiec pomknął jak strzała i znalazł się obok Indianina. Davy schwytał Indianina za kołnierz, wyrwał go z siodła i cisnął na ziemię.

- Hura! Alleluja! - krzyknął Hobbie-Frank. - To był ratunek w ostatniej chwili niebezpieczeństwa. Ale teraz co prędzej niech pan łapie wodza za czub, bo nie dam rady!

- Już! - odpowiedział Długi Davy.

Wyciągnął ręce do wodza, aby go wysadzić z siodła, ale w tej samej chwili ziemią wstrząsnął straszliwy huk. Konie cofnęły się w zamieszaniu, Davy z trudem utrzymał się w siodle. Jemmy, który musiał się obronić przed dwoma napastnikami, został strącony z konia, a to samo zdarzyło się Baumannowi.

Cała gromada zbliżyła się bowiem do Paszczy Piekła. Woda opadła i ze straszliwym grzmotem szlam wznosił się do góry. Bryzgi brudnej, gorącej wody tryskały na wszystkie strony.

Koń wodza ze strachu runął na kolana, ale podniósł się i zwracając się na lewo pomknął ku rzece. Stało się to w momencie, kiedy Old Shatterhand podjechał do grupy toczącej się po ziemi.

Zamierzał właściwie pomóc dzielnemu Frankowi, ale zrezygnował z tego zamiaru, ponieważ obaj Siuksowie zeskoczyli z koni i wpadli na Grubego Jemmy'ego. Długi Davy miał wiele kłopotu ze swym przerażonym wierzchowcem - nie mógł pomóc przyjacielowi. Old Shatterhand musiał szybko ratować grubasa. Osadził rumaka, zeskoczył na ziemię i dwoma uderzeniami kolby ogłuszył obu czerwonoskórych.

Winnetou tymczasem obsadził przejście między Paszczą Piekła a rzeką. Chciał zagrozić drogę Siuksom Ogallalla i zapędzić ich do kotliny.

To mu się powiodło. Uciekinierzy, ujrzeni jego oddział i zawrócili ku kotlinie. Przebieg opisanych wypadków był tak błyskawiczny, że Apacz nie zdążył wziąć udziału w walce. Teraz nadarzała się okazja żeby pomóc Hobbie-Frankowi, który siedząc za wodzem i trzymając go

mocno, mknął na przerażonym koniu ku rzece tak szybko, że ledwie można było zapobiec katastrofie. Widząc to Apacz ruszył mu naprzeciw, a za nim wielu Szoszonów.

Wódz Siuksów zrozumiał niebezpieczeństwo. Przerażenie i strach podwoiły jego siły. Wyciągnął ramiona w górę, gwałtownie uderzył Franka łokciami i wyrwał się z uścisku.

- Giń! - zawołał czerwonoskóry i pchnął nożem w tył, aby przebić nim odważnego Sasa.

Frank szybko się odchylił. Uniknął ciosu. Nie mając broni przypomniał sobie cios Old Shatterhanda. Lewą ręką chwycił wroga za gardło, prawą pięścią grzmotnął go w skroń z taką siłą, że zdawało mu się, że roztrzaskał sobie własną pięść. Ciężki Mokasyn zwiśł ogłuszony. Nim Sas zdążył zatrzymać konia byli już na brzegu. Rumak skoczył potężnym susem do rzeki. Dwaj jeźdźcy wystrzelili ponad głową zwierzęcia. Koń pozbawiony ciężaru, zawrócił powoli i wyszedł na brzeg.

Winnetou dotarł do rzeki. Zeskoczył z konia i przyłożył strzelbę, aby w momencie rozpoczęcia walki w wodzie, rozstrzygnąć ją celnym strzałem. Przez chwilę nie było widać żadnego z nich. Tylko kapelusz Franka pomknął z prądem rzeki. Po chwili jakiś Szoszon wyciągnął go przy pomocy długiego kija. Niebawem dosyć daleko od brzegu wyłoniła się ozdobiona piórami głowa Indianina, a za nią w pewnej odległości głowa Franka. Dzielny biały rozejrzał się dokoła, zobaczył Siuksa i szybko podpłynął do niego. Czerwonoskóry nie zemdlał, ale był na pół ogłuszony, mimo to. Mały Sas natarł na niego jak drapieżny szczupak, skoczył wodzowi na plecy, chwycił lewą ręką za czuprynę i zaczął uderzać prawą pięścią. Ogallalla zniknął pod wodą, a za nim Frank.

Utworzył się wir. Po chwili pokazała się ręka wodza i znów znikła, następnie wyłoniły się nogi i poły fraka białego myśliwego - zaciekła walka odbywała się pod powierzchnią wody. Winnetou nie mógł pomóc przyjacielowi strzałem, cisnął więc strzelbę, aby skoczyć do wody. Ale wreszcie wynurzył się Hobbie-Frank, kaszląc i plując. Rozejrzał się na wszystkie strony i zawołał:

- Czy wódz jeszcze w wodzie?

Skierował pytanie do Old Shatterhanda, Długiego Davy'ego i Grubego Jemmy'ego, którzy stanęli właśnie na brzegu. Nie czekając na odpowiedź dał znowu nura. Po kilku chwilach ukazał się ciągnąc za włosy pokonanego Siuksa i podpłynął powoli do brzegu.

Powitano go radosnymi okrzykami. Przekrzyczał ich wszystkich:

- Cicho bądźcie! Gdzie się podział mój kapelusz? Czy nie widział go żaden z łaskawych widzów?

Nie! - odpowiedziano.

- Biada! Czyżbym miał przez tego Ogallalla stracić swoje cenne strusie pióro? O, jest, widzę go na głowie tamtego Szoszona! Zaraz pociągnę go do odpowiedzialności!

Podbiegł do Indianina, aby odebrać swoje nakrycie głowy. Dopiero potem gotów był przyjąć wyrazy uznania.

- Kosztowało mnie to wiele wysiłku - rzekł. - Ale to drobnostka. ,,

„Veni, vidi, vici"*, jak powiedział Hannibal* do Wallensteina, a ja dokonałem tego czynu z taką samą łatwością.

Powiedział to Cezar - wtrącił Jemmy - a o Wallensteinie historia powszechna nic jeszcze nie wiedziała.

- Niech pan milczy, z łaski swojej, panie Jakubie Pfefferkorn! Co wie o panu historia powszechna? Niech pan wskoczy na konia Ciężkiego Mokasyna, potem na tym koniu do wody i przerywając tam wodzowi nić życia - a wtedy będzie pan mógł się zabawiać w aptekarsko-łacińskie pomysły! Ale nie inaczej! Mnie natomiast, przyszłe pokolenia wystawią w tym miejscu marmurowy pomnik. A mój duch będzie zasiadał przy nim w ciche noce i będzie się cieszył, że nie na próżno żył i skakał do rzeki kraterów. Spokój moim popiołom!

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wszyscy po tej przemowie wybuchnęli wesołym śmiechem. Ale nikomu nie było do śmiechu. Zapał tego oryginała o gołęmbim sercu udzielił się otoczeniu. Winnetou uściśnął mu rękę i rzekł:

- Ni'nte ken ni szo! - Jesteś dzielnym mężem!

Następnie Apacz wymownym ruchem dał znak Old Shatterhandowi, że pozostawia go tutaj, sam zaś dosiadł konia i wraz ze swoimi Szoszonami pojechał do wylotu kotliny, gdzie w gębi skupili się Siuksowie Ogallalla. Po drodze spotkał przywódcę Upsaroków i Moh-awa, syna wodza Szoszonów, wraz z wojownikami. Gdy olbrzym Upsaroka usłyszał, że jego śmiertelny wróg, Ciężki Mokasyn, leży nad rzeką, popędził tam co koń wyskoczy. Kiedy nadjechał, wódz Ogallalla dzięki staraniom Old Shatterhanda wracał do przytomności. Związano go starannie.

Upsaroka zeskoczył z konia, wyrwał nóż zza pasa i zawołał:

- Oto jest pies Siuks Ogallalla, który mnie pozbawił ucha! Niech w zamian odda za życia swój skalp!

Chciał na nim uklęknąć, aby zedrzeć skalp, ale Old Shatterhand powstrzymał go i rzekł:

- Jeniec jest własnością naszego białego bratai Hobbie-Franka. Nikt inny nie może decydować o jego losie.

Nastąpiła ostra wymiana słów, z której zwycięsko wyszedł Old Shatterhand. Upsaroka cofnął się pomrukując coś pod nosem.

Baumann, niedźwiedziarz, przycisnął Franka do serca. Dwaj przyjaciele byli bardzo wzruszeni.

- Tobie, wierny druhu, przede wszystkim zawdzięczam swoje ocalenie rzekł niedźwiedziarz. - Jak zdołałeś sprowadzić aż tylu zbawców?

Wzruszony Frank wskazał ku rzece i rzekł:

Tam nadchodzą inni, bardziej zasługujący na podziękowanie niż ja.

Baumann ujrzał swoich pięciu towarzyszy, którzy wraz z nim wpadli w niewolę. Przed nimi jechał Marcin, Wokadeh i Bob. Baumann wyszedł im naprzeciw. Gdy Murzyn ujrzał swego pana, zeskoczył z konia, podbiegł do niego i zawołał:

- O panie, mój drogi, dobry panie Baumann! Wreszcie pan Bob mieć swój sercem kochany pan! Teraz pan Bob umrzeć z radości. Teraz pan Bob skakać i śpiewać ze szczęścia i pęknąć z zachwytu. O, pan Bob być wesoły, być szczęśliwy, być radosny!

Baumann chciał objąć Murzyna, ale Bob cofnął się i rzekł:

- Nie, pan nie objąć pana Boba, bo pan Bob zabić cuchnące zwierzę i wciąż jeszcze mieć zły zapach.

- Ach, co takiego? Śpieszyłeś mnie uratować, więc muszę cię uściskać!

Po chwili nadjechał Marcin. Ojciec i syn padli sobie w objęcia.

- Moje dziecko, mój syn! - zawołał Baumann. - Znow jesteśmy razem i nic już nas nie rozłączy! Ale musiałeś się nacierpieć! Spójrz, jakie masz pokaleczone ręce!

- A ty ojciec masz jeszcze bardziej, o wiele bardziej! Ale to się szybko zagoi, odzyskasz zdrowie i siły. Teraz trzeba podziękować naszym wybawcom. Z Wohkadehem, moim przyjacielem, Grubym Jemmy'm i Długim Davy'm już wczoraj mogłeś się rozmówić. Ale tu stoi Old i Shatterhand, to przede wszystkim jemu i Winnetou zawdzięczam życie, - Wiem o tym i martwi mnie, że teraz mogę im po prostu, tylko podziękować.

Wyciągnął do 'Old Shatterhanda obie ręce. Łzy perlily się na jego zapadniętych policzkach. Old Shatterhand uściskał pokaleczone dłonie, wskazał na niebo i rzekł serdecznie:

- Niech pan nie dziękuje ludziom, drogi przyjacielu, ale naszemu Panu w niebiosach, że dał ci dosyć siły, abys mógł znieść nieopisane cierpienia. Byliśmy tylko narzędziem. Jemu należy przesłać nasze dziękczynienia i modły.

Zdjął kapelusz i zaintonował pieśń dziękczynną. Pozostali także odkryli głowy. Gdy skończył, rozległo się powszechne - głośne „Amen”!

Związany wódz Siuksów przyglądał się temu zdumionym spojrzeniem. Podniesiono go, aby zaprowadzić do wylotu kotliny, gdzie czekał Winnetou z Szoszonami i Upsarokami.

Old Shatterhand wjechał wraz z Apaczem do kotliny, aby obejrzeć wroga i zdać sobie sprawę z sytuacji. Zamienili kilka słów. Tak bowiem przenikali wzajemnie swoje myśli, że mogli się porozumiewać monosylabami. Niebawem wrócili do swoich.

Oihtka-petay podszedł do nich i zapytał:

- Co teraz zamierzają począć moi bracia?

- Wiemy - rzekł Old Shatterhand - że nasi czerwoni bracia mają taki sam głos co my. A więc wypalimy fajkę narady. Przedtem jednak chcę porozmawiać z Hong-peh-te-kehem, wodzem Siuksów Ogallalla.

Zsiadł z konia, a za nim również Winnetou. Ustawiono się dokoła jeńca. Old Shatterhand podszedł bliżej i rzekł:

- Ciężki Mokasyn wpadł w ręce wrogów. Jego wojownicy, zamknięci między skałami, są również zgubieni. Nie mogą nigdzie uciec i zginą od naszych kuł, jeśli wódz nie postara się ich uratować.

Urwał oczekując odpowiedzi Ciężkiego Mokasyna. Ponieważ jednak wódz milczał, więc dodał:

- Niech mój czerwony brat powie czy zrozumiał moje słowa?

Czerwonoskóry podniósł głowę, obrzucił Shatterhanda nienawistnym spojrzeniem i splunął. To była jego odpowiedź. - Czy wódz Ogallalla ma przed sobą parszywe zwierzę, że ośmielił się splunąć?

- Wakon tana? - Stara baba! - rzekł zapytany.

- Ciężki Mokasyn oślepl. Nie umie odróżnić męznego wojownika od starej kobiety.

- Kot-o pun-krai szonka! Tysiąc psów! syknął jeniec.

Niektórzy z otaczających go Indian wściekle mruknęli. Old Shatterhand skarcił ich spojrzeniem, pochylił się i ku zdumieniu otaczających, a zwłaszcza jeńca, rozciął mu pęta.

- Niech wódz Ogallalla wie - rzekł - że nie rozmawia z nim stara kobieta ani pies, lecz mężczyzna. Niech się podniesie!

Indianin podniósł się natychmiast. Jakkolwiek zwykł panować nad rysami twarzy, nie mógł teraz ukryć zakłopotania. Zamiast odpowiedzieć uderzeniem na jego obraźliwe słowa, uwolniono go z więzów?.

- Otwórzcie koło! - rozkazał Old Shatterhand.

Wojownicy skupili się, dzięki czemu Siuks mógł zobaczyć wnętrze kotliny. Ujrzał swych wojowników za Grobowcem Wodza. Widać było, że Siuksowie się naradzała. Czy nie mógł uciec? W najlepszym razie dotarłby do swoich wojowników, w najgorszym padłby od kuli, co było lepsze od męczeńskiej śmierci przy palu.

Old Shatterhand dostrzegł ten szczególny błysk w jego oczach. Rzekł:

- Ciężki Mokasyn pragnie uciec. Niech nie próbuje! Jego imię mówi, że stawia wielkie kroki, ale nasze nogi są lekkie jak lot wróbla, a nasze kule nigdy nie chybają. Niech na mnie spojrzysz i powie czy mnie zna.

- Hong-peh-te-keh nie ogląda kulawego wilka! - mruknął Ogallalla.

- Czy Old Shatterhand jest kulawym wilkiem? Czy tam nie stoi Winnetou, wódz Apaczów, którego imię jest bardziej słynne niż imię jakiegokolwiek wodza Siuksów?

- Uff! - krzyknął jeniec.

Nie spodziewał się, że ma przed sobą tych dwóch znakomitych westmanów. Spoglądając to na jednego, to znów na drugiego, zmieniał wyraz twarzy. Patrzył na nich z szacunkiem. Old Shatterhand dodał:

- Stoją tu także inni waleczni wojownicy. Wódz Ogallalla widzi tu Oihtka-petaya, przywódcę Szoszonów i Moh-awa, jego syna. Obok stoi Kanteh-pehta, niepokonany mąż leków Upsaroków. Tam dalej Davy-honskeh i Jemmy-petahtszeh. Będziesz...

Urwał, ponieważ w tej chwili rozległ się taki grzmot, że konie stanęły dęba, a odważni wojownicy drgnęli. W dolinie rozbrzmiewał długi, ryczący odgłos. Ziemia drgnęła pod stopami struchlałych mężczyzn.

Z rozsianych po całej dolinie otworów wznosiły się gęste kłęby pary, tu szaroniebieskie, tam znów żółte, czerwone lub ciemne. Ściemniło się od wulkanicznych wyziewów i strumieni szlamu o nieznośnym, duszącym zapachu.

Nie można było zrobić nawet dwudziestu czy trzydziestu kroków.

Należało się wystrzegać gorących strumieni lawy i wody. Nastąpiło nieopisane zamieszanie. Konie zerwały się i pomknęły galopem. Ludzie krzyczeli i rozbiegli się na wszystkie strony. Z głębi kotliny rozlegał się przerażony krzyk Ogallalla. Konie Siuksów również uciekły ku wylotowi kotliny. Niektóre wpadały do otworów i natychmiast nikły pod warstwą szlamu. Inne przedarły się przez biwakujących u wyjścia białych i dzerwonoskórych, wzmagając zamieszanie.

Old Shatterhand od początku zachował zimną krew. Od razu po pierwszym huku schwytał wodza Szoszonów, aby uniemożliwić mu ucieczkę. Po chwili jednak musiał puścić Mokasyne chcąc uniknąć niebezpiecznego strumienia. Wpadł przy tym na Grubego Jemmy'ego, który runął i trzymając się kurczowo Old Shatterhanda pociągnął go za sobą.

Ciężki Mokasyn ze strachu nie myślał nawet o ucieczce. Wkrótce jednak zorientował się, że właśnie nadarza się okazja.

Wydając zwycięski okrzyk pobiegł ku dolinie. Ale nie oddalił się znacznie. Musiał wyminąć Boba, który błyskawicznym ruchem uderzył go kolbą po głowie, jednak siła ciosu powaliła jego samego. Murzyn chciał się zerwać, gdy stratował go jeden z przerażonych koni. Nie mógł się więc podnieść. Krzyczał tylko:

- Wódz uciekać! Za nim! Za nim!

Ciężki Mokasyn, ogłuszony uderzeniem Boba, zachwiał się pod ciosem, ale już po chwili pobiegł dalej.

Marcin, syn niedźwiedziarza, usłyszał krzyk Murzyna. Widział uciekającego wodza i pośpieszył za nim. Czy kat jego ojca mógł uciec? Nie!

Ciało dzielnego chłopca było pokaleczone więzami, nie miał też przy sobie żadnej broni, a jednak wyężdżając wszystkie siły pobiegł za Ciężkim Mokasynem.

Siuks nawet nie oglądał się za siebie. Sądził, że nikt go nie ściga i całą uwagę skupił na drodze, którą podążał do grobowca. Tu było najwięcej niebezpiecznych otworów. Skierował się zatem na prawo, ku ścianie doliny, aby wzdłuż niej bezpiecznie i łatwiej dotrzeć do celu.

Ta droga nie była lepsza. Tam również było tyle parujących otworów, że stale musiał je wymijać. Nieraz już podnosił nogę do skoku i przekonywał się, że to, co uważał za stały ład, jest lepką, niezgłębioną masą.

Unikał śmierci tylko dzięki błyskawicznym zwrotom. Co sekundę otwierały się przed nim szczeliny, musiał więc nieraz, kiedy było już za późno na wycofanie się, skokiem przesadzać otchłanie zatracenia.

Ponadto odczuwał skutki uderzenia kolbą. Głowa mu ciążyła, przed oczami płoneła luna, płuca odmawiały posłuszeństwa, a nogi powoli omdlewały. Chciał przez chwilę wypocząć. Obejrzał się po raz pierwszy i jakby przez krwawą mgłę zobaczył zbliżającego się prześladowcę. Nie widział rysów twarzy, nie spostrzegł, że gonił go tylko chłopiec.

Przerażony pomknął dalej. Nie miał przy sobie broni, a sądził, że wróg jest uzbrojony. Dokąd miał uciec? Przed nim, za nim i z lewej strony; zionęły otwarte przepaście, grożące zagładą. Z prawej strony wznosiła się pionowa skała. Wyczerpywały się resztki sił. Zrozumiał, że jest zgubiony.

Ale w tej samej chwili ujrzał wznoszące się na ukos ku górze stopnie, dwa, trzy, cztery i więcej. Były to złomy, gdzie kiedyś Old Shatterhand szukał ratunku. Tylko tędy wódz Ogallalla mógł się wydostać! Wyteżył ostatnie siły i wspinał się na coraz wyższy stopień...

Tymczasem wulkan zaprzestawał swej działalności, równie raptownie jak zaczął. Wkrótce powietrze stało się przejrzyste. Dzięki temu Bob spostrzegł co się dzieje na skalnej ścianie. Krzyknął przeraźliwie i zawołał:

- Pan Marcin! Mój dobry, kochany pan Marcin! Wódz chce go zabić, ale pan Bob ratować!

Wskazał na krawędź skalną i pobiegł ku niej. Wohkadeh dogonił wodza. Zapaśnicy walczyli na śmierć i życie. Ciężki Mokasyn złapał Marcina potężnymi rękami i usiłował strącić go w przepaść. Na szczęście dla Marcina był on wyczerpany i prawie ogłuszony. Zręczny i odważny chłopiec wywijał mu się z rąk. W pewnej chwili Marcin wyrwał się z rąk Mokasyna, cofnął się jak najdalej i z rozbiegu wpadł całą siłą na wodza.

Ogallalla stracił równowagę, zamachał w powietrzu rękami, stracił grunt pod nogami i runął ze skały z okrzykiem przerażenia. Wpadł do ziejącego na dole krateru. Straszliwa paszcza natychmiast go wchłonęła.

Wszyscy zgromadzeni w dolinie przyglądali się tej walce. Z przedniej części rozległ się radosny krzyk, z głębi zaś wycie Siuksów Ogallalla, którzy musieli się przyglądać, jak chłopiec pokonał ich wodza. Nad całym zgiełkiem górował jednak głos Boba, który skakał przez kamienie i z głośnymi okrzykami zachwyty wpadł w objęcia zwycięzcy.

- Dzielny chłopak! oświadczył Jemmy. - Serce mi drżało o niego. A panu, panie Frank?

- No, a jakże - odparł Sas ocierając łzę radości. - Spociłem się ze strachu. Odważny młodzieniec zwyciężył, nie będziemy więc mieli wiele kłopotu z Ogallalla. Zmusimy ich, aby zgięli karki pod kulinarnym jarzmem.

Kulinarnym? Chyba pan myśli...

- Niech pan milczy z łaski swojej! - przerwał surowo Frank.

W tak uroczystym momencie nie będę się z panem sprzeczał. Widzę, że Siuksowie Ogallalla muszą się uspokoić. Zawrze się zatem powszechny, międzynarodowy pokój, w którym i my dwaj weźmiemy udział. Niech mi pan poda rękę!

Uścisnął rękę roześmianego grubasa i podszedł do Marcina Baumanna, który wracał wraz z Bobem.

Wszyscy wieszowali Marcinowi wyrazami najwyższego uznania. Old Shatterhand zaś zwrócił się do zebranych:

- Panowie, zostawcie teraz konie, które są już bezpieczne. Różbiegły się tylko wierzchowce Ogallalla. Ci ludzie muszą pojąć, że nie mają już żadnych szans. Muszą się poddać, choćby pod wrażeniem podziemnych mocy i śmierci wodza. Zostańcie tutaj! Pójdę do Siuksów wraz z Winnetou. Za pół godziny będziemy wiedzieli, czy poleje się krew, czy nie.

Z wodzem Apaczów poszedł do grobowca, za którym schronili się Ogallalla. Na tak śmiały czyn mogli się odważyć tylko ci dwaj ludzie, świadomi, że ich imiona będą dla wrogów gwarancją ich bezpieczeństwa.

Jemmy i Davy rozmawiali szeptem. Postanowili poprzeć pokojowe zamiary Old Shatterhanda. Czerwonoskórym sojusznikom nie bardzo odpowiadało oszczędzanie wroga. Natomiast niedźwiedziarzijego pięciu towarzyszy pałali pragnieniem zemsty. Nie mogli zapomnieć i nie chcieli darować doznanych cierpień podczas niewoli u Siuksów.

Tak więc obaj przyjaciele zgromadzili obecnych dokoła siebie.

Jemmy wygłosił krótkie przemówienie, w którym dowodził, że łagodne postępowanie leży w interesie obu stron. Wprawdzie można było przewidzieć, że w razie walki Ogallalla polegną, ale ile krwi ludzkiej by przy tym popłynęło? A poza tym należało się spodziewać, że i inne szczepy Siuksów wykopią topór wojenny, aby się zemścić na sprawcach jeszcze jednej walki między białymi i Indianami. Na zakończenie dodał:

Szoszoni i Upsarokowie są mężnymi wojownikami i żadne plemię nie dorówna im męstwem. Ale Siuksów jest tyłu, ile piasku na pustyni.

Jeśli dojdzie do wojny, ile ojców, matek, żon i dzieci Szoszonów i Upsaroków będzie opłakiwać swoich synów, mężów, ojców! Rozważcie, że wasz los spoczywa w waszych rękach. Old Shatterhand i Winnetou uprowadzili Mężnego Bawołu i jego syna Moh-awa z ich obozu i pokonał i Ogniste Serce i Stokrotnego Grzmota. Mogliśmy wybić co do nogi wszystkich wojowników, ale oszczędziliśmy ich, gdyż Wielki Duch kocha swe dzieci i pragnie, aby żyły ze sobą w zgodzie. Howoh!

Mowa ta wywarła wielkie wrażenie. Baumann i jego uratowani towarzysze gotowi byli wyrzec się zemsty. Indianie milczeniem przyznali słuszność mówcy. Tylko jeden z nich był bardzo niezadowolony, mianowicie przywódca Upsaroków.

- Ciężki Mokasyn zranił mnie! - rzekł. - Czy Ogallalla nie powinni za to odpokutować?

Mokasyn nie żyje. Lawa wchłonęła go wraz z jego skalpem. Jesteś pomszczony.

—Ale Ogallalla ukradli nam leki!

- Będą musieli je zwrócić. Jesteś silnym mężczyzną i mógłbyś zabić wielu wrogów. Ale „silny niedźwiedź” jest dumny - nie musi zmiążdżyć małego, tchórzliwego szczura.

To porównanie poskutkowało bardziej niż długa mowa. Pochlebstwo dobrze usposobiło olbrzyma. Był przecież zwycięzcą. Mógł albo zabić wroga, albo wybaczyć. Umilkł.

Niebawem wrócili Old Shatterhand i Winnetou na czele Ogallalla, którzy szli gęsiego długim szeregiem. Złożyli broń i cofnęli się, milczeniem wyrażając swoją kapitulację. Stali z pochylonymi głowami i smutnymi minami. Nieszczęście uderzyło w nich tak niespodziewanie i gwałtownie, że byli trochę oszołomieni.

Jemmy zrelacjonował swoją mowę i jej skutki Old Shatterhandowi.

Ogromnie ucieszony myśliwy uściśnął mu i rękę i zawołał do Ogallalla:

- Wojownicy Ogallalla oddali broń, ponieważ przyrzekłem darować im życie. Ciężki Mokasyn zginał, tak jak obaj kaci Wohkadeha i Marcina.

To wystarczy. Niech wojownicy Siuksów wezmą broń z powrotem.

Pomożemy im także odszukać konie. Niech między nami zapanuje pokój. Nad grobowcem wodza będziemy razem z wami rozpamiętywać wojowników, którzy padli z mojej ręki. Niech topór wojny między nami i Ogallalla zostanie zakopany. A potem niech moi czerwoni bracia wrócą na swoje tereny, gdzie będą mogli opowiadać o dobrych ludziach, którzy nie zabijają pokonanych wrogów i o Wielkim Manitou białych twarzy, który kazał kochać nawet wrogów. Powiedziałem.

Ogallalla oniemieli słuchając tej radosnej niespodzianki. Po prostu nie śmieli uwierzyć w tak pomyślny obrót sprawy. Podnieśli broń, i otoczyli z radością znakomitego myśliwego. Nawet przywódca Upsaroków był zadowolony gdy się dowiedział, że odzyska wszystkie leki.

Konie nie uciekły daleko. Łatwo było je schwytać. Sprowadzono zwłoki obu wojowników zastrzelonych przez Old Shatterhanda i pogrzebano je w pobliżu grobowca. Dzień minął na poważnych ceremoniach żałobnych, po czym wszyscy zgodnie opuścili niezdrowe miejsce i udali się do lasu, aby należycie wypocząć po przebytych trudach.

Wieczorem, kiedy przyjaciele i wrogowie siedzieli razem przy ogniskach i gwarzyli o przygodach, Frank odezwał się do Grubego Jemmy'ego:

- Najlepszą częścią naszego dramatu jest zakończenie. Przebaczone i zapomniano. Od urodzenia nie jestem zbyt wielkim zwolennikiem zabójstwa i rozlewu krwi, gdyż: „nie czyń drugiemu co tobie niemiło”.

Zwyciężyliśmy. Pokazaliśmy wrogom, że jesteśmy bohaterami. Pozostaje tylko jedno. Chce pan wiedzieć, co?

- Co?

- Kto się lubi, ten się czubi. Stale się sprzeczamy tylko dlatego, że sobie sprzyjamy. A więc przyznajmy się do przyjaźni i zawrzyjmy braterstwo. No, zgoda? Tak?

- Tak! - rzekł Jemmy.

—Choć w objęcia, serce moje! Nareszcie, nareszcie spełni się to, co już szillerowska „Radość, boska iskro bogów” tak pięknie zapowiadała:

Twoje więzy znów splatają to, co nierozsądek różni.

Frank i Jemmy przetapiają zawiść na braterskiej kuźni!

KONIEC ROZDZIAŁU